

Zmieniona moja wieś karsino



Ludzie w Karsinie zawsze umieli się zorganizować. W modnym wówczas czynie społecznym wybudowali szkołę, świetlicę, a w latach dziewięćdziesiątych remizę strażacką.

Do mojej wsi, Karsina przybyłam 31 sierpnia 1955 roku. Na pierwszy widok rzuciły się w oczy „kocie łby” (kamienisty bruk ułożony na drodze). Przejście po nim w butach na wysokim obcasie sprawiało nie lada trudność. Następną nowością dla mnie była „kraina w kratę” (gliniane, białe ściany z czarnymi belkami).

Każde gospodarstwo miało na środku podwórza gnojownik, z którego rozchodził się nieprzyjemny odór. Gospodarze

Maciej Michalski, Słupsk

REFLEKSJE NAD POLSKĄ

*Jakże mam stawić nieba błękity
I drżącą tęczę wielbić w przestworzach,
Kiedym udreńczon i jak pies zbity,
Zdążam do domu bnać po bezdrożach.*

*Jakaż to wojna przeszła nad nami,
Która zniszczyła polskie fabryki?
Jakiż to cyklon przeszedł polami,
Co wymiótł naród do Ameryki?*

*Jaki kataklizm sprawił, że naród
Szlachetny wielce i jak dąb stary,
Na rzeź prowadzić dał się jak cielce
I sprzedał swą wolność za dolary?*

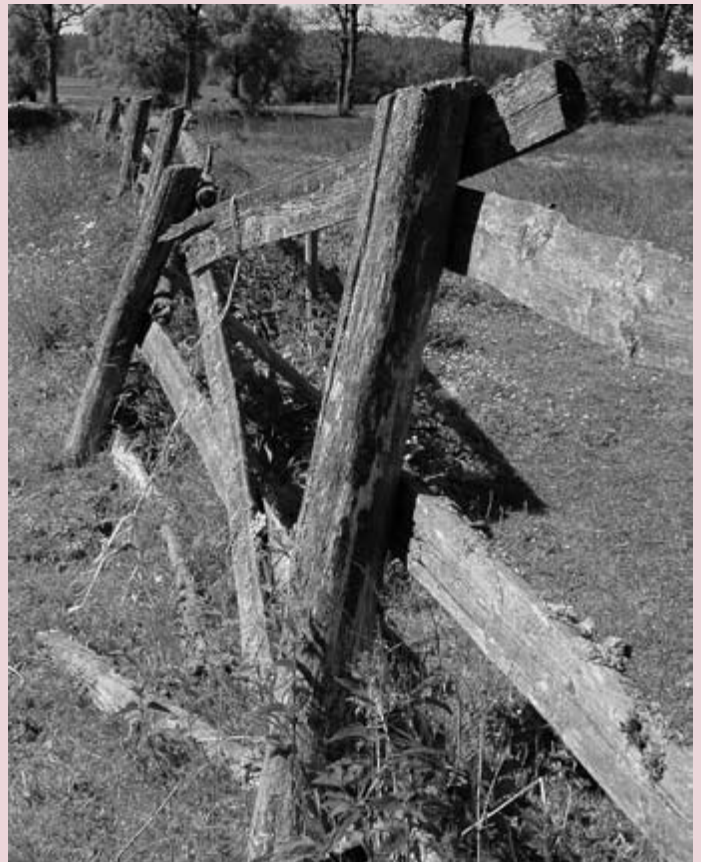
*Jakaż to armia, wydarła banki,
Przejęła prasę, zniszczyła szkołę?
A gdzie obrony szanse i szranki,
A choćby tylko i pięści gołe?*

*Kto otumaniał czerep rubaszny,
Który z uwagą śledzi reklamy,
Że niewolnika mu los nie straszny?
Może wyjedzie na Andamany?*

mieli konie, po kilka lub kilkanaście sztuk bydła, owce i dużo świń. Rano szły stada krów na łąki, najpierw publiczną drogą niewygodną i dla zwierząt, więc wybierały ścieżki blisko rowu. Następnie skręcały na drogę polną, gdzie tumany kurzu długo rozchodziły się po ich przejściu. Po południu dzieci pasły krowy.

We wsi stała kuźnia, w której kowal przykręcał podkowy do kopyt koni oraz wyrabiał żelazne przedmioty. Dzieci lubiły obserwować tę pracę. Mieszkał też szewc w niewielkim domku, można było na miejscu naprawić buty.

A jacy byli ludzie? Ogólnie – młodzi, w wieku do czterdziestu lat. Było około 120 mieszkań-



ców. W niedzielne popołudnia mężczyźni – gospodarze grywali w siatkówkę na boisku przed szkołą. Widać było gromadki ludzi przy drodze, dużo rozmawiali. Nie było samochodów.

W latach sześćdziesiątych, gdy pojawiła się telewizja a w szkole telewizor zakupiony za pieniądze zarobione przez dzieci i nauczycieli na wykopkach w PGR w Drozdowie, ludzie schodzili się do szkoły przeważnie zimą. Na polach dużo prac wykonywano ręcznie, na przykład przy przerywce i plewieniu buraków cukrowych. W latach siedemdziesiątych dzieci już nie pasły krów, bo te były palowane przy pomocy tańcuchów.

Ludzie w Karsinie zawsze umieli się zorganizować, to była i jest zgrana wieś. Czuli potrzebę pracy społecznej. W modnym wówczas czynie społecznym wybudowali szkołę, świetlicę a w latach dziewięćdziesiątych XX wieku remizę strażacką.

Straż Pożarna działała zawsze. Początkowo do pożaru strażacy jeździli konno. Następnie mieli jeden samochód, obecnie mają dwa samochody strażackie, którymi często wy-

jeżdżają do pożarów. W Straży Pożarnej najdłużej i najrzetelniej pracowali i jeszcze pracują - Mieczysław Rutkowski i Jerzy Brzozowski. Jest wielu innych ofiarnych i młodych strażaków. Istnieją do dziś drużyny młodzieżowe – męskie i żeńskie.

Nasz sołtys, Jerzy Brzozowski sprawuje pieczę nad wsią już ponad trzydzieści cztery lata. Mieszkańcy w żaden sposób nie chcą go zwolnić z tej funkcji, chociaż kilka razy próbował się od niej uwolnić.

Młodych mieszkańców ubywało ze wsi, ponieważ szkoła dobrze pracowała i absolwenci nie napotykali trudności w szkołach średnich, więc studiowali lub też dobrzy fachowcy po szkole średniej czy zawodowej rozjeżdżali się po Polsce i świecie. Starzy ludzie wymierali. Najgorzej pod tym względem było na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku.

A jak wieś poprawiła swój wizerunek? W latach sześćdziesiątych z drogi znikły „kocie łby”, położono asfalt. Gospodarze zasypali ziemią lub betonem większość gnojow-

ników. Niektórzy posadzili w tym miejscu krzewy i kwiaty. W całej wsi jest tylko jeden koń, są cztery krowy mleczne, nie ma owiec, a świnki niektórzy hodują tylko dla własnego użytku. Jest tylko dwóch dużych gospodarzy. Nie ma szewca ani kowala i kuźni. Zlikwidowano pocztę i szkołę. W ciągu półwiecza wybudowano trzy nowe domy, a czwarty zaczyna rosnąć. Poprawiono zewnętrzny wygląd domów. Większość młodych ludzi pracuje w zakładach rybnych w Darłównu i Barzowicach. Przybyło czternaście młodych małżeństw i sporo dzieci, ale nie mają szkoły na miejscu, więc muszą dojeżdżać dziesięć kilometrów do Postomina.

Obecnie jest nas 101 mieszkańców. Na trasie Koszalin – Darłowo – Karsino – Ustka - Słupsk jest wielki ruch samochodów. Niektóre rodziny w Karsinie mają po dwa a nawet trzy samochody. W 2007 roku wieś doczekała się chodników przy jezdni. A w 2008 roku mieszkańcy Karsina swoimi siłami wybudowali nową kapliczkę.

Stanisława Paszyk, Karsino

Stanisława Paszyk

KAPLICZKA

Wygląda jak niewiasta
z głową w koronie, nieco pochylona
w grubym płaszczu
utkanym jakby z komórek
przeplatanych żyłami.
Ten płaszcz otula
figurkę Matki Bożej,
chroni Ją od słońca,
niepogody i wiatrów,
a może i złych ludzi.
Maryjo, Matko Boża, jak ten kamienny
płaszcz

Chroni Ciebie,
tak Ty chroń Karsino
od wszelkich nieszczęść
i wspomagaj ludzi,
bo nie są tu źli.
Wszyscy chcemy Cię mieć,
by na Ciebie patrzeć
i prosić Cię o wstawiennictwo
za nami
do Twojego Syna Jezusa Chrystusa.

PRZEMIJANIE

Przemijaniu towarzyszy wzruszenie
był dom drewniany gontem kryty
już go nie ma

znikły wianki świętojańskie
wiszące pod dachem
gęsi pilnowane przez małą pasterkę
portret rodziców ze ściany
ławeczki przy opłotkach i łopiany
rankiem o rosie dźwięki ostrzonych kos
liść kapusty pieczonego chleba ułożony
w stos
janczary końskiej uprzęży
drabina i bosaki przeciwpożarowe
zastąpione przez nowe sprzęty
standardowe
dźwięk dzwonka mojej szkoły
buki przy sadzie macecznik słowików
wesolych
i my odejdziemy jak pszczoły

ptakataam i ptakataam



Zaledwie minął tydzień od ostatniego ataku mojego serca, a ja zdecydowałam się pojechać na drugi koniec Polski, w Bieszczady odwiedzić rodzinne strony - moje i męża. Bardzo chciałam tam pojechać, bo to już może ostatni dzwonek.

Wyruszyłam 17 lipca o szóstej rano, by po dwunastogodzinnej jeździe autem przybyć na miejsce, do Komańczy - okolic urodzenia męża. Dziękuję synowi Aleksandrowi, bo to dzięki jego namowom pojechałam.

Coś od początku ścisnęło mnie w piersiach - ulgi nie przynosiły leki uspakajające. Myślałam, co zastanę tam, na miejscu po czterdziestu latach od mojego ostatniego (jedyne-go) pobytu w tych stronach, od czasu wysiedlenia. Modliłam się o szczęśliwą podróż. Rozboleła mnie głowa od szumu mijanych samochodów, zwłaszcza TIR-ów. Jechaliśmy trasą

możliwie najkrótszą, omijając duże miasta. Za Tarnowem zaczyna się krajobraz podobny do zachowanego w moich wspomnieniach z dzieciństwa. Patrząc na pola przedzielone miedzami, często porośnięte krzewami, nawet pojedynczymi drzewami. W górzystym terenie stanowiły one nie tylko granicę poszczególnych gospodarstw, ale także barierę dla spływających wód z gór. Jestem zaskoczona bardzo nowoczesną zabudową. Budynki mieszkalne z otoczeniem wypieszczone - tak bym to określiła. W wielu domach zrobiono małe wnęki nad oknami lub drzwiami. W nich stoją figurki Matki Bożej. To takie małe kapliczki, większe lub mniejsze stoją także w ogródkach przydomowych. Bardzo to rozczułające. Podróżując, choćby nawet nie chciał, musi zejść z obłoków na ziemię i zastanowić się nad sensem swego życia, nad rzeczą najważniejszą, jedyną stabilną i niezawodną w pogoni za czymś, co ulotne, bezwartościowe. Między tymi nowoczesnymi domami dostrzegałam doskonale wkomponowane stare domy drewniane Ukraińców wysiedlonych z tych terenów. Urzekły mnie wykończenia dachów we wzory wycinane w drewnie niczym koronka hafciarki. Zastanawiałam się, skąd takie bogactwo ludzi w tych biednych bądź co bądź terenach.



Kiedyś bardziej okazałe zabudowania gospodarcze już stanowiły o zamożności. Na murowane domy mógł sobie pozwolić ktoś, komu na emigracji w dalekiej Ameryce udało się uciąć trochę dolarów. Już na miejscu dowiedziałam się, że to Warszawa tu się przenosi, po prostu tu budują sobie domy, a te drewniane stanowią dodatkową atrakcję turystyczną. Myślę, że ich mieszkańcy nie trudnią się rolnictwem, raczej wszyscy starają się zarobić na turystyce.

Wreszcie moim oczom ukazały się góry, masywne, dostojne, różnokształtne w szacie jasno i ciemnozielonej. Kłaniałam się górą wysokim podziwiając ich piękno i nie dziwiłam się, że Ojca św. Jana Pawła II tak do nich ciągnęło. Takich jodeł, buków prostych jak świeca, bardzo wysokich w życiu nie widziałam. Góry przyjazne w promieniach słońca, groźne, ponure w pochmurne dni. A padało w czasie mojego pobytu. Nic to, że więcej było chmur i deszczu niż słońca. Ja i tak z każdym oddechem chłonięłam urok tych stron.

Po rodzinnej wiosce męża nie ma śladu. Wysokie trawy i padający deszcz uniemożliwiły nam dotrzeć na miejsce, na którym stał jego rodzinny dom. Odwiedziliśmy cmentarz, który w zeszłym roku ze składek byłych mieszkańców oczyszczono z zarośli, ogrodzono i postawiono pamiątkową tablicę z nazwiskami osób na nim spoczywających. Zachowało się kilka pomników wykutych w kamieniu. Mąż z bratem załatwili postawienie metalowego krzyża w miejscu, w którym pochowany jest ich ojciec, młodsza siostra i stryj. Dobrze, że pamiętał miejsce. Jedyne, co się zachowało z jego wsi, to ruiny cerkwi blisko przy drodze. Byliśmy tam. Płakałam i płakałam. Dotykałam tych kamieni w takim mozole znoszonych z gór przez prostych, wierzących ludzi na budowę świątyni, modlących się do tego samego Boga, co wszyscy katolicy. To nie Tatarzy, a lud katolicki odwagę miał zrobić z niej stajnię dla owiec. Cud, że fragmenty murów przetrwały tyle lat. Zwiedziłam w tych okolicach więcej sakralnych, miejsc. Spotkałam turystę z lubelskiego, wędrującego pieszo po górach, gdzie się da i fotografującego wszystkie zabytki, jakie tylko się zachowały. Ma już kilka albumów, a do wędrowek zaraził syna. Drewniane cerkwie stojące na wzgórzach, na glinianej ziemi nie zmyły strugi spływających wód, ani żadne inne zjawiska groźnej górskiej przyrody. To ręka człowieka miała najbardziej niszczącą moc. W Komańczy spłonęła drewniana cerkiew, w której odprawiano tylko i wyłącznie nabożeństwa prawosławne. Spłonęła od nie wygaszonych świec. Grekokatolików tam nie dopuszczono. Znaleźli zrozumienie i przychylność u proboszcza rzymskokatolickiego i tam odprawiano nabożeństwa, dopóki nie wybudowano nowej cerkwi. Ministerstwo Kultury dało finansową pomoc i świątynia jest odbudowywana w dawnym stylu bez zastosowania gwoździ. To ciekawa sztuka. Dobrze, że jeszcze żyją ludzie, którzy potrafią tę sztukę ludowego budownictwa przekazać następnym pokoleniom.

Byłam w skansenie w Sanoku. Obeszłam cały. Wchodziłam do domów, w jakim ja też się wychowywałam. Wszłam za przewodnikiem oprowadzającym turystów, ale szybko zrezygnowałam, dlatego że w sposób niezgodny z prawdą przedstawiał przyczyny oczyszczenia tych ziem z Ukraińców. Ja widziałam przede wszystkim ogromny wysiłek ludzi tam żyjących, starających się zbudować bezpieczne domy z bali ciosanych siekierą, urządzenia do codziennego użytku, sprzęt do gospodarstwa - wszystko robione ręcznie. Ludziom tam żyjącym nie brakowało pomysłów na przykład, żeby zrobić ubikację w wydrążonym pniu ogromnego drzewa w kształcie ulla. Było trudno żyć, a mimo to ludzie byli radośni, życzliwi, wzajemnie się wspierający i w potrzebie pomocni.

Wsie w górach budowane są różnie. Niektóre bardziej w skupieniu, niektóre rozciągnięte, tzn. wiele domów jest oddalonych od siebie. Przy drogach ciągną się rowy odprowadzające nadmiar wód z gór. Domy także mają często obok odpływy.

Nie wszystkie rowy są oczyszczone, rośnie dużo tzw. ziała Kaszpirowskiego, bardzo parzącego. Doświadczylałam poparzenia nim. Wpadłam do glinianego rowu przy drodze, ugrzęzłam i o własnych siłach wyjść nie mogłam. Przył mnie ten Kaszpirowski całą dobę. Drogi w górach wiją się serpentynami - bałam się każdego zjazdu. Teraz, chociaż są wąskie, ale asfaltowe. Wybudowali je więźniowie. Spotkałam w Bieszczadach domy kryte eternitem a myślałam, że taka moda krycia dachów była tylko modna na zachodzie Polski, zwłaszcza w PGR-ach.

W sobotę po południu, tj. 19 lipca pojechałam do mojej rodzinnej wsi. Znowu mnie zatykało, nie próbowałam wstrzymać płynących ciurkiem łez. Zatrzymałam się tam, gdzie ujrzałam po urodzeniu światło dnia. Powitał mnie na wybiegu ryk dzików hodowanych w chlewni postawionej na miejscu mego rodzinnego domu. Sentymentalna jestem - zabrałam stamtąd grudkę ziemi. Na miejscu, (mojego domu), plebani i zabudowań gospodarczych proboszcza grekokatolickiego, a także na części placu, gdzie stała cerkiew stoją pozostałe po pegeerze budynki - wiaty wykorzystane przez Lasy Państwowe na składowanie i obróbkę drewna oraz garażowanie maszyn. Pod zniszczonym krzyżem nie mogłam nawet spokojnie pomodlić się.

Trudno to już nazwać wsią, skurczona, małeńka, zarosnięta ograniczona bodajże do sześciu domów. Mieszka tu sześć rodzin. Z dawnego budynku szkolnego ciekawe przybyszów - wyjrzały buzie domowników. Podszedł do nas pan

Tomański mieszkający w Wołodzu i pracujący przy składnicy drewna. Będzie stawiał dębowy krzyż w miejsce zniszczonego. Ogromne dzięki za to temu młodemu człowiekowi.

W tym roku mogłam wejść na cmentarz. Został oczyszczony z krzewów dzięki proboszczowi rzymskokatolickiemu z parafii Siedliska. Niech mu Bóg błogosławi. Krzewina odrasta, ale cały cmentarz jest spowity rozciągającym się barwinkiem. Zapaliłam znicze i modliłam się za wszystkich tu spoczywających. Już nigdy nie dowiem się, w którym miejscu były groby moich najbliższych. Moja kapliczka przydrożna stoi nienaruszona na swoim miejscu, zawsze wita wjeżdżających i wyjeżdżających z tej wsi. Dowiedziałam się od pana Tomańskiego, że wszystka ziemia we wsi jest sprzedana, tylko ten kawałek, gdzie stał mój dom jeszcze nie - nie pytałam jak duża jest ta działka, ale zapytałam o cenę - powiedział, że 10 tysięcy złotych za hektar.

W niedzielę przez Słowację pojechaliśmy na „Łemkowską. Watrę” do Żduni. Trwała trzy dni - my „załapałiśmy” się na zakończenie. Przejście graniczne już takie nietypowe, bez strażników, bez kontroli, tylko puste budki jeszcze nie uprzątnięte. Ze Żduni wieczorem wracaliśmy do domu. Szczęśliwie dotarliśmy rano na miejsce.

Czy potrafiłabym tam żyć? - zadawałam sobie pytanie po powrocie. Chyba już nie. Miałam wrażenie jakbym coś przespała i zbudziła się w innym wymiarze czasu.

Eugenia Ananiewicz, Słupsk

wspomnienia kuszą powrotem



Są osoby cieszące się szczęściem mieszkając w mieście, są i ci, co szczęściem nazywają to wszystko, co dobre, piękne. Są i tacy, którzy szczęśliwi są z możliwości obcowania z przyrodą, lasem, szumem spienionej, bystrej wody uciekającej w pośpiechu polnym strumykiem, zapachem świeżo skoszonej trawy, maciejki zasianej pod płótem przy malutkim domku na wsi...

Pierwsze dni września. Słońce stara się umilić godziny lekcyjne naszym milusińskim. I chociaż jeszcze drzewa mają zielone odzienie, w ogrodach grządki zapełnione, to powolnym krokiem zbliża się jesień z koszem na dojrzałe plony.

Chociaż mieszkam na wsi, mało mam pracy, tej wiejskiej. Nie mam gospodarstwa, nie mam sadów, ogrodów, ale znam pracę z nimi związaną. Mój ojciec dzierżawił ziemię, prócz niej miał jeszcze spory kawałek własnej. Kiedy zdrowie nie dopisywało, i po ciężkiej chorobie, operacjach przeszedł na rentę chorobową, postanowił zająć wolny czas pełen myśli i bólu pracą na roli. Znał dobrze ów trud, był dzieckiem gospodarzy. Od najmłodszych lat ciężko pracował pomagając rodzicom. Nie miał problemu z podjęciem decyzji. Kiedy tylko siły utracone podczas walki z chorobą powróciły, kupił konia, krowę, kilka prosiaków. Zaczął gospodarzyć. Nam, dzieciom nie było do śmiechu, kiedy w słoneczne niedzielne popołudnie trzeba było iść na łąkę i wałować siano lub w pośpiechu, przed deszczem, zwozić wysuszoną słomę. Właśnie wtedy, kiedy koleżeństwo szło nad jezioro lub na dyskotekę.

Najgorsze były wykopki. U sąsiadów traktorem w dwa dni całe hektary były wykopane, u nas małe, kilkuarowe poletko kopaliśmy dwa tygodnie motykami. Pamiętam nasze - dziecięce kłótnie z tatą o to, że przecież można poprosić sąsiadów i nam też szybko ziemniaki wykopią. Ale tacie takie słowa... Przecież on sam, własnymi rękami przeprowadził meliorację łąk, których nikt nie chciał. Sam wybierał stopy

kamieni i wyrównał ziemię. I miałby wprowadzić na nią traktor, żeby pokopał, porył, narobił „biedy”? Powolutku, na kolanach wykopaliśmy kartofle, później grabiliśmy łąkę. Troszkę było lżej jak od pewnego dziadka tata odkupił konną kopaczkę. Chociaż nabiegaliśmy się po polu za roz-

zrzuconymi ziemniakami, to ich zebranie zajmowało nam już tylko kilka popołudni.

Dziś, po latach przyznaję, że chociaż nie mieliśmy dużej gospodarki, to bez maszyn, napracowaliśmy się bardzo. Przede wszystkim napracowali się moi rodzice. Dzisiejsi gospodarze nie mają mniej pracy. Ale na pewno dzisiaj jest im lżej. Wystarczy spojrzeć na pola...

Kiedy nie mieliśmy jeszcze owej, wspomnianej „mini gospodarki”, tata pracował, mama zajmowała się domem, wychowaniem dzieci, haftowaniem i wieloma innymi czynnościami. Było ciężko, jedna pensja na sześcioro, to niewiele. Mama zaczęła hodować kury, kaczki, gęsi, króliki. W późniejszym czasie pojawiła się też owca. Wtedy nie mieliśmy jeszcze łąki. We wsi nie było pegeeru, ale było kółko rolnicze, do którego należała większość pobliskich pól i łąk. Oczywiście gęsi trzeba było wypasać. Była to moja praca, której nie znosiłam. Koleżanki miały do wypasania krowy na własnych łąkach. Gęsi wypasałam na ugorach i przydrożnych rowach, często biegając za nimi, gdy rozbiegały się po ulicy i wpadały pod nadjeżdżające samochody lub traktory. Tych ostatnich w naszej wsi nie brakowało, bo niedaleko znajdowała się kopalnia marglu. Dopiero po latach, jak już kółko rolnicze przestało działać, wokół pojawiło się dużo ugorów. Dziś, gdy Unia Europejska zachęca do zagospodarowania najmniejszego nawet kawałka ziemi, oferując dopłaty, krajobraz wygląda zupełnie inaczej. Nawet, jeśli nie sadzi



się nic i nie sieje, to przeorana ziemia, odświeżona, nie razi lenistwem i zaniedbaniem.

Praca, którą wykonywałam z obowiązku pozostawiła wiele wspomnień. Byłam pełna radości na widok pierwszych zarobionych pieniędzy za zwożenie snopków słomy, siana, wrywanie lebiody z ziemniaków, sadzenie lasu. Ileż to było wakacyjnych dni spędzonych na przyczepach ciągników, łąkach, polach, w lasach? Jeszcze większą satysfakcję dawały zakupy. Podążając za modą można było kupić sobie skórzany pasek z klamrą pełną ćwieków, dzinsy z nadrukami i wiele, wiele innych cudeniek. A po zakupach obowiązkowo kino, lody. Szacunek do rzeczy, do pieniądza był inny.

Jak dziś wygląda wieś, jak wyglądają zagrody, obejścia? Czy nie lepiej, schludniej? Domy są wyremontowane, kolorowe, mają ozdobne płoty, ogrody pełne charakterystycznych

drzewek, kwiecica. Wszystko regularnie jest strzyżone, pielone. Trawniki przycięte, chodniki pozamiatane. Możemy chwalić się ładnym, schludnym obliczem wsi. Dziś wieś to nie odludzie zabite deskami. Prawie każdy ma samochód, motor, skuter. Autobusów nie brakuje. Nie w każdej wsi znajduje się kino, kawiarenka, ale są sale sportowe, place zabaw, sklepy. Każdy inaczej postrzega swoje szczęście. Dla jednych to dom pełen miłości, zgody, dla innych praca, zdrowie. Są osoby cieszące się szczęściem mieszkając w mieście, są i ci, co szczęściem nazywają to wszystko, co dobre i piękne. Są i tacy, którzy szczęśliwi są z możliwości obcowania z przyrodą, lasem, szumem spienionej bystrej wody uciekającej w pośpiechu polnym strumykiem, zapachem świeżo skoszonej trawy, maciejki zasianej pod płótem przy malutkim domku na wsi...

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

mój dom

Pamięć moja sięga 1949 roku, wsi Kottowo w powiecie miasteczkim. Zostało tylko jedno zdjęcie, na którym jestem ja, starsza siostra Maria, mama, tata, wujek, brat mamy Michał Kuczyński i kawałek domu, w którym mieszkaliśmy. To, co pamiętałam, to jezioro i pałac w parku gdzie chodziłyśmy się bawić. W 1950 roku zamieszkaliśmy w leśniczówce w Biesowicach, w dużym domu z leśniczym o nazwisku Ciżmowski (ci państwo już nie żyją, ich dzieci mieszkają w Kępicach). Pani Ciżmowska została chrzestną matką mojej młodszej siostry Heleny, a tej pani siostra Jadwiga została moją ciotką, ponieważ wyszła za mąż za brata mojej mamy - Józefa Kuczyńskiego. Kuczyńscy zamieszkali na stacji kolejowej w Biesowicach. W późniejszym czasie zostali przeniesieni do Korzybia (syn Czesław - mój kuzyn był bokserem w Słupsku, w klubie „Czarni”. Zginął tragicznie w młodym wieku). Wujek pracował na kolei, ciocia w restauracji w Kępicach.

W latach 50-tych zmienił się też leśniczy, który mieszka tam do dzisiaj. Z leśniczówki do Biesowic było około półtora kilometra. Nasz dom stał (i stoi nadal) nad rzeką Wieprz. Idąc do domu trzeba było przejść przez most i wiadukt i minąć jeszcze jeden budynek. Pamiętam ten dom z czerwonej cegły wśród lasu bukowego, rzeki, na niej most drewniany i po drugiej stronie rzeki stację kolejową z poczekalnią. Pociągi przejeżdżały

Zima była naprawdę piękna. Dzika zwierzyna podchodziła pod dom za pożywieniem. Bardzo skromnie żyliśmy, mimo wszystko brak mi tej ciszy, spokoju, zapachu drzew, traw, lasu i szumu rzeki.

Często wracam myślami do tych dziecińczych czasów. I przylaszczek niebieskich.



dość często, lecz zatrzymywały się rzadko. Ich gwizd wskazywał godzinę, czasem budził ze snu. Pewnego razu przejeżdżający pociąg odciął świni ryj po same oczy. Zwierzęta chodziły luzem, a świnię szczególnie, ponieważ zbierały i jadły nasiona drzew - buczynę, żołądź. Mniej trzeba było je karmić.

W domu podłogi z desek były zawsze wyszorowane, łózka były poniemieckie, a na nich sienniki napchane sianem. Zapach siana unosił się nad całym mieszkaniem. W kuchni pachniało często pieczoną dziczyzną i pieczonym chlebem. Mama piekła dosyć często chleb. Kawa słodzona była sacharyną. Cukier był od święta. Chleb smarowano margaryną lub ceresem, masła się nie robiło. Mleka i tak było mało. Pranie odbywało się często przy brzegu rzeki. Była zrobiona kładka. Bieliznę moczyło się w dużej bali, po pewnym czasie kładło się na kładkę, smarowało szarym mydłem i uderzało z każdej strony kijanką (to kawałek drewna okrągłego, o długości około pół metra). Płukanie musiało być dokładne.

Okna w pokoju wychodziły na las bukowy pełny przylasz-

czek i białych zawilców, w kuchni - na rzekę. Gałęzie drzew dotykały domu. Jesienią nasiona i liście wpadały do domu przez otwarte okno. Rzeka rojła się od dzikich kaczek. Widać było jak robiły gniazda w zaroślach po obu stronach rzeki. Znosiły tam jajka. Do dziś pamiętam odgłosy kaczek, jakie wydawały rano i wieczorem. Pamiętam też smak jabłek z sadu przy rzece. Tu zaczęłam chodzić do szkoły, krętymi ścieżkami, po lesie, zaroślach. Pamiętam młodą nauczycielkę Marysię Zalewską, klasę, w której wisił krzyż. Modlitwę odmawialiśmy przed rozpoczęciem lekcji i po zakończeniu. Minutą ciszy czciliśmy śmierć Bolesława Bieruta. Pamiętam kościół, który stoi do dziś. Tam przyjąłem Pierwszą Komunię Świętą. Udzielał mi jej ksiądz Korecki. W szkole była piłka. Graliśmy po lekcjach, aby dłużej być w szkole. W domu nie było nic do zabawy. Pozostawały tylko gonitwy po lesie, zabawy w chowanego. Latem robienie jeszcze wianków z leśnych kwiatów. W wakacje zbierało się grzyby i jagody, pasto się owce i krowę po młodych zagajnikach i lesie. Nie zapomnę dnia, w którym zgubiłam krowę i bałam się wrócić do domu.

Zimy były naprawdę piękne. Dzika zwierzyna podchodziła pod dom za pożywieniem. Bardzo skromnie żyliśmy. Mimo wszystko brak mi tej ciszy, spokoju, zapachu drzew, traw, lasu i szumu rzeki. Często wracam myślami do tych dzieciennych czasów. Niedawno, po kilkudziesięciu latach zobaczyłam to stare miejsce. Stoi ten sam dom. Byłam nawet zaproszona do środka. Żyje w nim już tylko żona leśniczego, która nas pamięta. Jest ta sama stacja kolejowa, most, stoją te same drzewa, kościół, tylko ścieżki są inne. Człowiek niewiele zmienił, tylko przyroda. Patrząc, serce zabiło mi mocniej, tży same cisnęły się do oczu. Słowa nie mogłam przemówić. Pomyślałam tylko „Boże spraw, abym tu wróciła”, choć wiedziałam, że to niemożliwe. Wzruszona, odchodząc, obejrzałam się. Kolejny raz wyrwałam korzeń przyłasczki, aby mieć coś na pamiątkę. Teraz rośnie blisko mnie i kwitnie na niebiesko.

W dawnej leśniczówce mieści się obecnie zajazd łowiecki o nazwie „Kawka”. My wyprowadziliśmy się z niej 17 stycznia 1958 roku.

Anna Karwowska, Dobieszewko



Fot. Archiwum autora

Z polskim rodowodem



Poznałem go bliżej i zaprzyjaźniłem się podczas Słupskiego Października Literackiego '75 oraz, jeśli dobrze pamiętam, w tym samym roku zainicjowanych (notabene przez „moje” Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pobrzeże”) Usteckich Rozmów o Literaturze.

a progiem jesieni takie znakomitości pisarskie, zwłaszcza z dziedziny poezji i krytyki dokonali warsztatowych ludzi pióra, jak: Adriana Szymańska, Maria Szypowska („Powrót Julii”; do... Słupska, w 1977), Lesław Bartelski, Zbigniew Bienkowski, Krzysztof Gąsiorowski, Jan Maria Gisges, Krzysztof Lam, Bogdan Ostromecki, Julian Rogoziński, Wacław Sadkowski, Michał Sprusiński, Stanisław Twardochlip. Pominąłem kogoś? Chyba tylko publicystę („Miesięcznik Literacki” etc) Włodzimierza Sokorskiego. No i tego, komu poświęcony jest cały mój zapis: Nikosa Chadzinikolau.

Bawił on na uesteko-słupskich „biesiadach twórczych” z nieżyjącymi już często, jak w gronie przywołanych spod znaku muzy Kaliope, poetami i prozaikami ze wspomnianych miast: Martą Aluchną-Emelianow, Anną Łajming (signum temporis – więzi w miarę sił senierek bardzo skromne), Leszkiem Ba-

Gród nad Stupią i sąsiadująca z nim letnia stolica niedysiejszej Polski gościły wtedy – odtąd – między wakacjami

kułą, Zygmuntem Flisem, Anatoliuszem Jurem, Zbigniewem Kiwką, Stanisławem Misakowskim, Andrzejem Turczyńskim, Zbigniewem Zielonką. W towarzystwie – „przez grzeczność” – koszalinian Czesława Kuriaty i Józefa Narkowicza, szefów tamtejszego Oddziału ZLP.

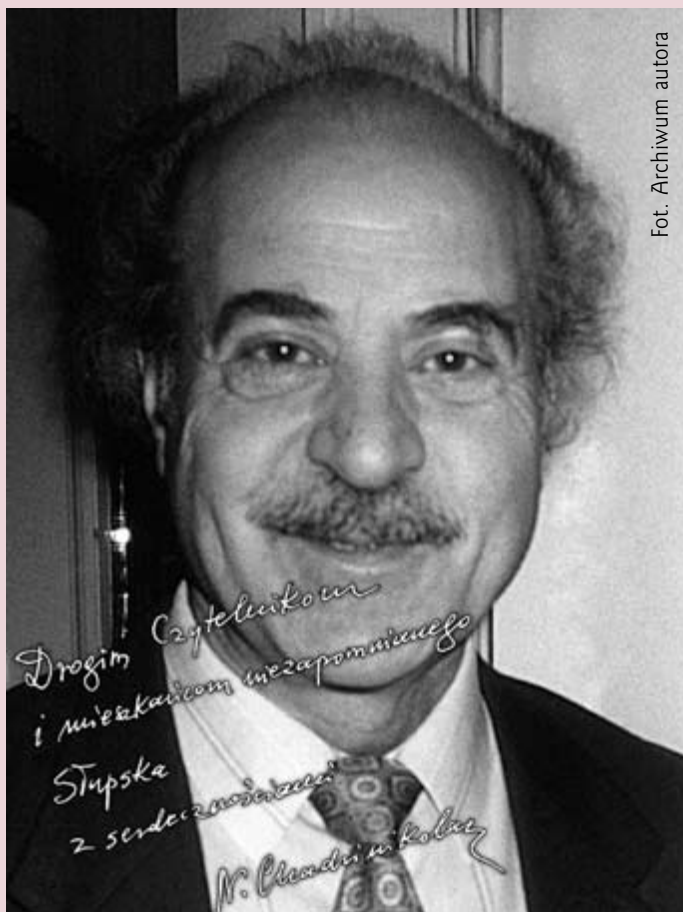
Darzy ich (żyjących słupszczan, wśród których ostało się raptem trzech – Flis, Kiwka, Zielonka; Turczyński „zdradził” bowiem nasz region w styczniu br.) rzadko uświadczanym sentymentem. Po dziś dzień – z upływem tylu lat! – nieustannie, powiedziałyby „Zbig” Bieńkowski, „goni, roni chwile – chwileczki... I pędzi za nimi przez jedno (Słupsk) i drugie (Ustka) miasto”...

Parę słów o samym bohaterze niniejszego artykułu. Kim jest Nikos Chadzinikolau? W encyklopedycznym skrócie. Grek pochodzący (ur. AD 1935) z Delf – miasta, które poprzez wgłębienie Zatoki Patras sąsiaduje z Peloponezem, datowanej na VI wiek p.n.e. metropolii tzw. okrągu Fokidy, wreszcie siedziby Pytii – legendarnej wieszczki (wyroczeni) bożka Apollina. Od roku 1950, ściśle od zakończenia w Grecji wojny domowej i wygnania z kraju lewicujących buntowników-antyroyalistów, zamieszkuje z rodziną w Poznaniu i ma również obywatelstwo polskie. Tam osiem lat później ukończył studia filologiczne (z... polonistyki; sic), zrobił następnie doktorat nauk humanistycznych, spędzając większość życia przy katedrach szkolnych i uniwersyteckich (w UAM). No, może nie większość. Trzy dekady. Też z pewnym „ale”: non stop uczył i – tworzył.

Gdy się poznaliśmy, był już autorem piętnastu książek (tomiki poezji: „Barwy czasu” – 1961 i – wkrótce potem – „Otwarcie światła”, „Wyzwolenie oczu”, „Godzina znaczeń”, „Bezsenność”, „Próba nocy”, „U stonych źródeł”, „Dobrze, Syzyfie”, „Exodus”, „Moje krainy”, „Rodowód”; powieść „Greczynki”; publikacja z cyklu „Dzieje literatur europejskich” pt. „Literatura nowogrecka”; przekłady z literatury greckiej: powieści „De profundis” Stratisa Myrivilisa i „Grek Zorba” Nikosa Kazantzakisa (bestseller!) oraz antologii poezji greckiej XX w. („Nowe przestrzenie Ikara”) i greckiej poezji morskiej („Lataranie Posejdon”).

W minionym trzydziestoleciu... Trudno, doprawdy, o rekapitulację. Spróbujmy jednak przytoczyć bodaj te – ani chybi wielce wymowne – dane cyfrowe. Przetłumaczenie utworów aż pięciuset trzydziestu ośmiu pisarzy greckich na język polski i stu trzydziestu pisarzy polskich na język grecki. Opublikowanie z górą stu (!) wydawnictw książkowych, wśród nich blisko czterdziestu zbiorów wierszy (prócz zaprezentowanych już Czytelnikom m.in. „Słoneczny żal”, „W magii światła”, „Bez maski”, „Galop światła” - 2000, „Modlitwa do ptaków” – 2005; inne: „Aforyzmy i Haiku” (2 wydania), dwie powieści, „Literatura nowogrecka 1453-1983” (PWN 1986, praca naukowa – pierwsza pełna historia greckiej literatury w dziejach Polski), „Mity greckie” (3 wyd.), „Mitologia grecka” (pr. autorska, wspólna z synem Aressem), „Bajki greckie” (także autorskie), „Ilustrowana księga mitów greckich” (pr. autorska Nikosa i Aresa Ch. z 2006; według badaczy problemu „dzieło wybitnych znawców kultury greckiej... połączenie zbioru mitów greckich i leksykonu postaci mitologicznych, bogów i herosów... z dodatkowym walorem, który stanowi przystępny, żywy a jednocześnie bardzo piękny język tych zbeletryzowanych opowieści”).

Trochę jeszcze o przekładach Nikosa Chadzinikolau. Są wprost nieocenione. Polacy zawdzięczają im tete-à-tete z pomienionym przed chwilą światowym bestsellerem Kazantzakisa „Grek Zorba” (8 wydań), z „Bajkami” Ezopa (2 wyd.), „Aforyzmami Greków” (3 wyd.), „Erotykami” Safony (3 wyd.), z dramatami Sofoklesa: „Antygoną” (5 wyd.), „Elektrą” i „Królem



Fot. Archiwum autora

Edypem” (po 3 wyd.); wreszcie ze szczytowym, bez wątpienia, osiągnięciem wieloletniej pracy translatorskiej „Polonusa z Delf” – pionierskim w jego drugiej ojczyźnie tłumaczeniem z języka starogreckiego „Iliady” (2001, wkrótce i „Odysei”) Homera. Co przybliżył mieszkańcom Grecji? Wiele autentycznych skarbów naszej literatury, by wymienić dla przykładu „Baśnie polskie” czy grube tomy poezji noblistów Wisławy Szymborskiej i Czesława Miłosza.

Puentując: jako się rzekło – wybitny poeta, prozaik, tłumacz, literaturoznawca. Żeby nie być gołosłownym: „Jedna z najciekawszych postaci literackich nam współczesnych” (Leszek Żuliński); „Przekłady wręcz kongenialne. Prawdziwa uczta duchowa i intelektualna” (prof. Oktawiusz Jurewicz); „Szczęśliwe kraje, Polska i Grecja, że mają takiego Ambasadora” (Melina Mercouri, minister kultury i sztuki Grecji); „Nie przypominam, by kiedykolwiek poeta grecki na obczyźnie osiągnął takie szczyty maestrii poetyckiej, co on. To twórca... wizjoner! (Grek Odisseas Elitis, laureat Nobla 1979).

Na koniec – garść pozornych marginaliów. Jest Chadzinikolau przysłowiowym spiritus movens poznańskiej Białej i Kolorowej Serii Poetyckiej pn. Poeticon (223 tomy wierszy autorów polskich i obcych!), inicjatorem i współgospodarzem Międzynarodowych Festiwali Poetyckich Chalkida – Eubea, założycielem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej (promocja wśród Hellenów naszych zespołów folklorystycznych, tutaj – piosenkarzy Eleni i Paulosa Raptisa, a także wspaniałej opery Mikisa Theodorakisa „Elektra” i musicalu „Zorba”), duszą fan-klubów greki, opiekunem bractw młodych poetów, członkiem jury mnóstwa bardzo znaczących konkursów literackich, długoletnim szefem Oddziału i wiceprezesem ZG ZLP.

Wyrazy uznania? Idące w dziesiątki, jeśli nie setki (!). Przykłady pierwsze z brzegu: Honorowe obywatelstwo aż

wiersze najnowsze

Henryka Jurałowicz – Kurzydło, Słupsk

ŁUPAWA

Łupawo piękna panno pomorska
Rzeko przez słupską ziemię płynąca
Oczami swymi modrymi wabisz
Zawsze niezmiennie od wielu wieków
Tobie kłonią się lasy zielone
Przeglądając się niczym w lustrze
Nad twym brzegiem bobry wznoszą tamy
Ryby w toniach błyszczą srebrem łusek
Przez wieki całe słuchałaś mowy
Słowińskiej i kaszubskiej....
Płaczesz czasami dźwiękami dzwonu
Co na dnie spoczął w twych głębinach
Zerwany z jarzma dawnej kaplicy
Jesteś czasami bardzo okrutna
Kiedy mocą dawnego zaklęcia
Czyjeś życie do siebie przyzywasz
Kapryśna i zmienna jak dziewczyna
Raz spokojna uległa leniwa
To znów roztańczona nagłym tańca
wirem
Lub spadasz bezładnie wodospadem
I płyniesz płyniesz niepowstrzymanie
Pośród pól i łąk zielonych
Do morza...
Niczym dziewczę z chłopcem na spotkanie
Choć ci jezioro stanęło przeszkodą
Ty dalej swym wartkim nurtem
Tniesz jeziora wodne przestworze
Z dala przyzywa cię zew potężny
I wpadasz jak w kochanka ramiona
W nasze błękitne Bałtyckie morze

PRZEDSMAK JESIENI

Już nie lato...
A jeszcze nie jesień
Tylko codziennie jakby
Mniej nieba nad głową
Bocian wybrał się sam
Na ostatni spacer
I wnet odleci...
Do zobaczenia za rok
Niez mordowany malarz wrzesień
Fioletem ubarwił lasy
I w sadach uśmiechy rozdaje
Jabłoniom...
Jarzębina czerwienią płonie
Strojna w korale jak dziewczyna
Słysząc już dożynkowe śpiewanie
Płon niesiemy płon...
Tylko kłosa złote z pól zebrane
Płaczą deszczem w kolorowych
wieńcach

Eugenia Ananiewicz, Słupsk

MARATON

Zapisałeś mnie
na małżeński maraton
nie znam trasy
nie wiem ile dałeś czasu.
Z radością ruszałam
tym szlakiem w nieznaną
o pomoc prosiłam
nie odmów mi jej Panie.
Pełny zakrętów
dolin pagórków i gór
biegłam w strugach łez
słońce stałeś zza chmur.
Przebiegłam wyznaczony
limit przez człowieka
meta coraz bliżej
nie wiem co mnie czeka.
Jeśli dobiegnę
nagroda nagana czy kara
podpowiedz mi proszę
czy test wytrzymałości zdałam.
Nie wiem Panie
co powiedzieć bym mogła
dziękuję; czasem cisza
mówi więcej niż słowa.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

SKOCZNA DO MAZURA I KUJAWIAKA

Janowi Wanago z Wrześnicy.

Ta książniczka bez imienia,
jako polny kwiat na wietrze
tańczy i mazura i kujawiaka.

Jej duszyczka rwie się w całość...
Ma złociste ramiona
i cztery gołębie białuteńkie.

Narodziny dziecka w lesie,
to dobry znak dla słońca.

Podążam wskaźnikiem instynktu...
Opoka namiętnie skarży się na czas.

A chmury przynoszą nowiny,
że poeta kończy wiersz upadkiem
liścia.

Gloryfikuję wszystko co bezpieczne. –
Nie tylko taniec książniczki,
ale i bezimiennego poetę który poszedł
prościuteńko linią horyzontu.

POECI W OGRODZIE ANNY

Jest gościnną, często się śmieje – jest młoda,
a młodość ma zakręty. Wabi jak motyl w maju.
Ale to nic, w tym Ogrodzie bywam i piszę
wiersz miłosny. – Czy można tak to nazwać?
Jej szczupłe nogi mają naturalny kolor, są białe,
i to mnie przyciąga, bo mogę ułożyć ten wiersz
w erotycznym aspekcie. – Czy mogę Anno?
Człowiek ściga się z czasem. Czasem wyciągnie
marzenie spod poduszki, kiedy sen spokojny
za nami. Więc maluję cię po swojemu,
tylko wróbel na gałęzi przeszkadza mi akurat
teraz. Akurat miałem dotknąć (twój intymny
szerelek), że pragnienie zostanie spełnione.

Jednak zadrżałaś, nie ze wstydu...

Jan Kulasza, Strzelce Krajeńskie

NIE ZAWSZE DOBRY PŁON

ziarno zasiane w człowieka
nie zawsze dojrzeje
i zbierze się obfity plon
czasem w upokorzeniu
i ze łzami w oczach
upada człowiek
kto zdoła go podnieść
i wyleczyć z choroby
zwanej starość
znieczulica najbliższych
a może on niepotrzebny
jeśli tylko zawadą
to niech sobie upada
dopóty
aż się nie podniesie

DZIĘKUJEMY SERDECZNIE

Marii i Janowi Wanago z Wrześnicy.

Dziękujemy serdecznie, drodzy Przyjaciele
za trud włożony w Waszą pracę (...)
Niech kwitnie przyjaźń,
niech się rozwija.
Przyjaciół nieraz lepszy od brata.
Niech Łaska Boga zawsze Wam
sprzyja.

Zasobna w serca jest Wasza chata
Serce przyjaźni, miłości serce
po stokroć więcej niż pieniądź
znaczy
Dla Was ten wierszyk składam
w podzięcie
Niech Was me oko w Strzelcach
zobaczy

Adam Tyszer, Wałbrzych

OPUS II i III

Czy spotkam kiedy tego co mieszka w tej
okolicy?

dziecko wojny
Nazywa się Janek Wanago,
dobry człowiek, poszliśmy kiedyś na
wydeptane uliki

Szczauna Zdroju -
opowiadał o dobrych ludziach ze Słupska...
Daleko to, daleko, a widać jak na dłoni,
recytował swe wiersze,
a potem się wychylił i krzyknął, że
zapomniał stare buty -
zapomniał też mamę Słupska z okolicą
którymi ulicami kroczy!...
Słupsk jest nad końcem Polski -
Na ulicach, co dom jaki,
zaraz widać odpływającej rzeki,
Boże, Boże, jak tam pięknie,
Jak zielono, przyjedź i zobacz -
Zobaczysz wszystko co piękne,
Pola obrodzone, kłosa zboża jak fontanny,
Puszyste domy wiejskie w oddali,
Sady pachną jak panny wykąpane -
Przyjedź i zobacz nasze spotkania literackie...
I tak zamysłony, przechodząc się parkiem
Wpatrzony w dwa drzewka posadzone,
W ciszy, zmierzchu i smutku odchodząc,
Stał samotny i jakże wzgardzony ty, co było,
że dzieciństwo mu zabrało,
niech te drzewa się zielenią!

(Ten opus dla Janka Wanago - mojego przyjaciela.)

OPUS II - III

(Dla Pana Starosty Słupskiego Sławomira
Ziemianowicza.)

Wiek dwudziesty pierwszy,
spina lśniącą klamrą
przyjdziesz, zobacz
Tu czas daleki, który przystanął
przyjdziesz, zanim ślady zamrą...
Antyki dziwne przypięte do przestrzeni
nieba -
to co święte w murach muzeum
zamknięte -
W oddali drzewa muru rumienią...
Wieczorem na rynku ptaki samotne
W zabytkowym Domu -Muzeum,
samotne portrety „Solo Witkiewicza”
pastele, paier Irminy Bajer -
Nowowiejskiej z 1939 roku
zakrywają przeszłość
nie patrz na ten smutek - oczy twe wierzą
a tu blisko - bliźniutko tuż
na schodach tego pięknego miasta
wszystko od nowa się zaczyna
nie patrz na mnie tak smutno, że jestem
z daleka
zobacz spod rzęs liście opadających drzew
bez pamięci zobacz purpurę swego miasta
tak bliskich, przechodzących dzieci,
to uśmiech -
trzeba je ustami utulić...
W ogrodach powiatu, zapach starych jabłoni,
opadających owoców przeszłości

i w sercu - ból
nocą przerywany najnowocześniejszego
ze wszystkich burz...
tego co było - blisko tuż

Emilia Zimnicka, Izbica

MOWA WIEKÓW W SŁUPSKU

Mowa wieków jest strzelista
wieżami gotyckich kościołów,
witraży w oknach...
Surową czerwienią cegieł
obronnych murów w Słupsku
Wyszczerbionych zębem czasu...
Płynąca ciemna woda rzeki
wśród ruin starego grodu.
Straszy też mowa
Białą damą w komnatach
starego zamczyska.
Mieczami, kolczugami
Starych zbroy błyska...
Bywa też ściszona
posuwistym kroczeniem...
szczurów w podziemiach
starego zamku
gdzie mrok otula
pajęczyną
szkielety przodków
śpiące w przejmującej ciszy

PODZIĘKOWANIE

Dzięki ci Matko, że Boską opieką
Kraj otoczyłaś nasz bratni zza Buga
Kraj, który krwawą cierpień splotnął rzeką
Przez lata długie

Dzięki Ci Boże, że łaska Twa wielka
Wróciła wiarę u braci ze Wschodu
Modły składamy, aby ufność wszelka
Dała owoce w wielkości narodu

Ile łez spadło na ziemię cmentarną
Nikt oprócz Ciebie Boże nie policzy
Ile krwi wsiąkło na darmo, bezkarnie
Braci zginęło w białej
Okrutnej, syberyjskiej ciszy

Maciej Michalski, Słupsk

WYSOKI SĄDZIE

W zasadzie od dziecka było z nim nie tak
Zbyt długo wierzył w bajki i świętego
Mikołaja
Książki wprawdzie czytał ale od końca
I odkładał te które nie kończyły się
szczęśliwie
Potrafił wyjść z kina w połowie seansu
Chociaż zapłacił za cały bilet
Stale popadał w skrajności
Broniąc spraw przegranych od początku

Kiedy dorósł a trwało to długo
Z bajek przerzucił się na biblię
Broniąc mitów o stworzeniu świata
Oraz bajdurzeń o globalnym potopie
Na życzliwe uwagi że każde dziecko wie
Iż człowiek pochodzi od małpy
Syczał że niektórzy od węża
Dziwny jakiś zagadkami gadał
Trudno się z nim było porozumieć
Bo nie wiadomo skąd czerpał wiedzę
Wiadomo że nie czytał gazety wyborczej
Jakby parzyła mu ręce
Za nic nie chciał pojąć prostych reguł życia
Że pokorne ciele dwie matki ssie
Długo robił rumor wokół siebie
Walcząc z całym światem - Don Kichot taki
Aż na koniec zamilkł jakby zaczął się bać
Nie śmiał się z Kiepskich ani Badziewiaków
Tylko patrzył na nas jakoś dziwnie,
jakby z rozpaczą
A potem spuszczał oczy i bez słowa wychodził

Janina Müller, Nowa Wieś Lęborska

NIEBIAŃSKIE POLANY

Już nie będzie tej chwili
Przed nami,
Tego marszu przez życie
Krok w krok.
Pytałaś się mammo jak rodzi się wiersz?
Pierwszą zwrotkę słowik zanucił o świcie,
Drugą deszcz muzyką gra na szybach,
Trzecią zwrotkę różę w wazonie pisały,
Czwartą wiatr rozczesuje polany,
Piątą zwrotkę mammo
Jak Cię szukałam na niebiańskich polanach.
Łzy moje zamieniają się w rosy,
A w sercu mym rodzi się wiersz.

MOJE MALARSTWO

Tak bardzo uwiecznić to co
przemijające chcę,
A więc za pędzel chwytam i tworzę.
Nadaję barwy pięknego wschodu, który to
Promykami łany zbóż ozłaca

Błękitu głębie naznaczam z rozmachem,
By oddać urok dnia, by ożywić łąki,
skały, stada...

Teraz maczam pędzel w zielonym,
przecież u drzew
liście prezentują się pięknie, rozkwitają
po zimie,
Zielone liście

Kolorowym pociągnięciem włosi ogrody
tworzę,

Piękne maki, żonkile i inne kwiaty,
Ach! Jak to wspaniale uwiecznić piękno tej
Przyrody, tak na zawsze, nie na chwilę,
Ciesz się oko nieskazitelnością.

Aldona Peplińska, Motarzyno

SZCZODROŚĆ UCZUĆ

Poezja nierozpoznawalnie nieuchwytna
jak cień rzucony przez chmurę
wędruje drogami
bez drogowskazów
trafia na mur obojętności
oblepiony plakatami
prostackiego kolorytu
niedouczonego jutra
świadoma i szczodra
uwodzi tajemniczym spojrzeniem
rzucanym spod ronda
damskiego kapelusza

kusi grzesznymi zamiarami
dodając odwagi
nieśmiałym kochankom
obietuje miłość
niewinną
czystą
dozgonną
często zapiekłą
w szalonej zazdrości
wyobraźnią rozkochanych dziewczyn
wyznaje wierność
słowami czytanego
ukradkiem wiersza
czasem uparcie milczy
zagubiona
w niezrozumianej zawilości

Jan Wanago, Wrześnica

SZYNOBUS POGWIZDUJE

Słonko rankiem wstało, dzionek się rysuje,
Hen, gdzieś pod Darłowem szynobus pogwizduje.

Dziatwa nasza zwawo do szkółki wędruje,
Przejazd kolejowy – proszę się
zatrzymać: szynobus pogwizduje.

Sam naczelnik stacji podwładnych sztorcuje,
Szczegółów nie słysząc, bo wszystko
zagłusza – szynobus pogwizduje.

Byłby wierszyk dłuższy, może kiedyś
skończę – dziś Wam obiecuję
PKP przeszkadza. Szynobus pogwizduje.

z polskim rodowodem

- ciąg dalszy ze str. 7

sześciu miast. Nagrody ministrów kultury Polski i Grecji. Krzyż Oficerski OOP i Order Aleksandra Wielkiego. Złota Lira Orfeusza, Laur Akropolu, medal Zasłużony dla Kultury Polskiej. I Złoty Medal Amerykańskiego Instytutu Kultury Polskiej w Miami (USA). Tytuł Międzynarodowego Człowieka Roku 1997, przyznany przez International Biographical Center of Cambridge. Order Uśmiechu UNICEF... Wystarczy chyba. W każdym razie powinno!

Jeszcze – drobne, można by zrazu sądzić – post scriptum. Wspomniany syn Ares, 35 l., to „sobowtór” ojca. Z wykształcenia wprawdzie muzykolog-kompozytor, artysta plastyk, doktor humanistyki. Nagrał już dziewięć przepięknych płyt, np. „Sny o Grecji”, „Tańcz jak Zorba”. Pasjonuje go jednak w coraz większym stopniu (17 książek!) pisarstwo. Konkretnie poezja, przekłady polsko-greckie. Ma w swym dorobku twórczym tak znaczące pozycje wydawnicze jak choćby: „Z twarzą słońca”, „Między brzegami”, „Poetry”, antologia poezji greckiej „Panta rei”, „Literatura nowogrecka w przekładach polskich”, „Laur Wielkopolski” (pr. wespół z ojcem) i „Laur Olimpijski”, „Antologia poezji polskiej XX wieku” (tom I) oraz kilka tomów poezji greckiej, których publikację – słyszałem u Chadzinikolau – zawdzięcza w dość dużej mierze trochę starszemu (49 l.) słupskiemu literatowi, Wiesławowi S. Ciesielskiemu.

Trudno doprawdy zrozumieć, dlaczego nikt ze współorganizatorów – dajmy na to – Słupskiej Wiosny Literackiej nie przypomni sobie, poza „starymi znajomymi”, o takich pisarzach. Szkoda. Wielka szkoda! Na wszelki wypadek: Służę telefonem, adresem, bezpośrednim lub pośrednim kontaktem.

Zostawiłeś mi, Nikosie, wolny wybór Twoich wierszy dla przybliżenia Cię naszym Czytelnikom. Diabło kłopotliwe zadanie! Ryzykuję: „Kutry” z „Moich krain” - 1978 i „Rodowodu” - 1979 (bo... napisałeś je po wspólnych party w Ustce), „Fryne do Praksytelesa” z „Galopu światła” - 2000 (bo wprost urzekająca tam gra słów i – nie tylko) oraz tytułową „Modlitwę do ptaków” - 2005 (bo to, w moim odczuciu, liryka z istnych pereł niezwykle głębokiej i przejmującej refleksji).

Jerzy R. Lissowski, Słupsk

Nikos Chadzinikolau

KUTRY

Jerzemu Lissowskiemu

Słońce zachodzi za burtą
posłuszne aż do światła latarni.
Na betonowym nabrzeżu czekają kobiety
przykładając wiatr do ust.
Ubogi, kto nie zna chwili,
kiedy morze napelnia się aż po krtani oddechem.
Wracają kutry z siecią Ariadny –
w niej gwiazdy morskich opiekunek.

FRYNE DO PRAKSYTELESA

Stworzyłeś posąg na miarę mojego ciała,
ustawiłeś go w gaju świątyni
między afrodytą i erosem.
Mężczyźni modlili się do niego.
Niebo i ziemia miały kolor pomarańczy,
a dźwięki pucharów
zapłatywały się w pamięć.

Położmy się w gaju,
dreszczem ciała nie znieważymy bogów,
których sami stworzyliśmy.

MODLITWA DO PTAKÓW

Modlę się do was jak gałęzie wierzby w suchą noc.
Niech wasze światło rozwidni moje oczy,
niech wasze skrzydła dodadzą słowom lotność
i zmniejszą strach przemijania.

Chcę jak wy łączyć ziemię z niebem,
chwalić diadem słońca, płomień w różach,
wysokość drzew
i sen spokojnych wód.

Tęsknię jak wy do wiatru,
do krain dalekich,
gdzie nieustannie ciemność się cofa
i śpiew powraca do warg jak opłatek.

Podarujcie mi odrobinę wolności.

amerykańskie opinie o miłoszu

Edward Dusza ze Stevens Point napisał w sierpniu w 2007 roku artykuł polemiczny pt. „Miary i miarki, czyli o Miłoszu w czerwonych spodenkach”. Ten tekst był publikowany w „Głosie Polskim” (nr 34/2007) w Toronto i w „Dzienniku Związkowym” 24-26 sierpnia 2007 r. w Chicago. Jest bardzo interesujący.

Tak pisze poeta Edward Dusza: „Tutaj muszę wprowadzić wspomnienie z mojego czterdziestolecia emigracji. Kiedyś, a było to na początku lat 70-tych ubiegłego stulecia, w redakcji nowojorskiego dziennika niepodległościowego przygotowałem do druku dodatek literacki. Zamieściłem tam m.in. trzy wiersze Miłosza z tomu „Ocalenie”, który przywiozłem z Polski. Nie spodziewałem się, że wywołam tym, zdawałoby się, normalnym działaniem redaktorskim, potworną awanturę. Mój szef, nomina sunt odiosa, podpisujący strony do druku, w szwaskiej pasji zdał tekst z planszy, zmiął i rzucił do kosza na śmieci. „Zadnych tekstów tego ubeka!” – krzyczał. No i poinformował mnie, kogo nie wypada i wręcz nie wolno drukować. Na nic nie zdały się moje protesty. Oświadczono mnie urzędowo, że nie mam się czym przejmować, bo „przecież to znowu nie najlepszy poeta, są lepsi, jak Wierzyński, Lechoń, Wittlin, Janta, Hemar, Łobodowski, Niemojowski, Brzękowski, Babiński, a przede wszystkim, kochane przez czytelników – Obertyńska, Bohdanowiczowa i Pawlikowska”.

Poeta Edward Dusza dalej: „Dzisiaj, po latach, wiem, że moi przełożeni mieli rację – oni służyli wolnej, niepodległej Polsce, często poświęcili szczęście rodzinne, własne kariery i skomplikowali swoje życie tylko po to, by być wiernymi wartościom uznanym przez naród za nadrzędne, za które wcześniej wzięli kule w serce moi ukochani poeci warszawscy i całe legiony naszych rodaków. Wśród emigrantów politycznych nie było miejsca na kompromis i konformizmy. W ich (i moim!) pojęciu służba komunistyczna była zdradą narodową. Stąd nie zapomniano socjologowi Aleksandrowi Hertzowi jego usług świadczonych placówce reżimowej w Nowym Jorku czy Józefowi Wittlinowi pracy w PRL-owskim centrum kulturalnym. Mówiono o nich „różowi”... Z Czesławem Miłoszem było gorzej. Faktem jest, że przyjął on posadę w dyplomacji rządu Polski Ludowej, był uważany przez reżim za człowieka zaufania, zajmował wysokie stanowisko w ambasadzie w USA. Jednej z najważniejszych strategicznie dla sowietów (sic!). (...) Pamiętając o wielu tragicznych losach polskich emigrantów, nie mogliśmy przejść wobec tych faktów obojętnie i serdecznie przygarniać Miłosza do naszych organizacji oraz udzielać mu miejsca na łamach emigracyjnych pism niepodległościowych”.

Poeta Edward Dusza dalej: „I powinien to zrozumieć sam Miłosz, co przecież świadczyłoby o jego wrażliwości etycznej. Nie, on nie czuł się wówczas winny. Był wręcz zaskoczony stanowiskiem emigracji. Co gorsze, w swoich książkach Miłosz próbował rozgrzeszać tych, którzy wybrali podobną jemu drogę. Taką próbą „rozzgrzeszenia” był przecież „Zniewolony

Dla wielu pisarzy, poetów, historyków literatury, wydawców, redaktorów Czesław Miłosz nie był reprezentantem Polonii w USA.



umysł”. Po latach wydawca tej książki, Jerzy Giedroyc, powiedział: „W dzisiejszych warunkach i gdyby nie nagroda Nobla nie wznowiłbym jej. Ta książka może być dzisiaj użyteczna dla intelektualistów rosyjskich, ale dwa razy rozgrzeszać intelektualistów, którzy świnili się w Polsce, to nie ma sensu. Nie dodał Giedroyc, że „Zniewolony umysł” był również zamaskowaną próbą rozgrzeszenia własnych win noblisty. Pech w tym, że w przypadku Miłosza tych spraw rozdzielić się nie da, a próba kreowania go pośmiertnie jako wodza narodu, czy też wieszczka, jest obrazą wszystkich tych, którzy wiernie służyli ojczyźnie (...). W ciepłe ognia nagrody Nobla wielu literatów chciało zabłysnąć, piejąc fałszywe hymny na cześć tego skompromitowanego pisarza. Teraz się tego wstydzą. Zagajewski, unika rozmów na ten temat uciekając w chorobę, a Jan Błoński należy obecnie do najzacieklej atakujących Miłosza”...

Na koniec jeszcze poeta Edward Dusza: „Jeszcze jedna ważna sprawa: podwójne miary polskiej krytyki. Potępiamy i piętnujemy Jana Dobraczyńskiego za jego poparcie dla WRON-y, a milczymy wobec analitycznego zjawiska zdrady narodowej u Miłosza. Poczekajmy jeszcze trochę: zostaną wkrótce otwarte raporty ambasad PRL-u. Zobaczymy, jak oceniał swoich emigracyjnych rodaków. Być może wtedy wypowiedzi legendarnego dzisiaj krytyka literackiego, dr Alicji Lisieckiej, jakże sponiewieranego na emigracji za jej niekompromisowe wypowiedzi na temat m.in. autora „Doliny Issy”, staną się dopełnieniem bezlitosnej prawdy. Kiedy opadną emocje, kiedy

poznamy w pełni działalność Miłosza na reżimowych urządach, kiedy ucichną spory ideologiczno-polityczne, kiedy wypełnimy zasiany przez komunę wśród nas perz – wtedy to chłodny, obiektywny badacz naukowy podejmie niezależne badania zjawiska, którym był ów obywatel Wielkiego Księstwa Litewskiego (...). Jedno wiem na pewno – nikt mnie nie przekona do twórczości Miłosza ani do skazitelnosci jego intencji twórczych czy politycznych. Żadne Noble i żadne napaści w prasie na mnie czy na osoby dzielące mój punkt widzenia. Być może tracę na tym. Wolę jednak stracić różne intratne, dziennikarskie lub intelektualne korzyści, by zostać wiernym swoim ideałom patriotycznym.

Pośród emigracji niepodległościowej Miłosz wciąż jest persona non grata”.

Zygmunt Jan Prusiński
Ustka

Czesław Miłosz

OBŁOKI

*Obłoki, straszne moje obłoki,
jak bije serce, jaki żal i smutek ziemi,
chmury, obłoki białe i milczące,
patrzę na was o świcie oczami łez pełnemi
i wiem, że we mnie pycha, pożądanie
i okrucieństwo, i ziarno pogardy
dla snu martwego splatają posłanie,
a kłamstwa mego najpiękniejsze farby
zakryły prawdę. Wtedy spuszczam oczy
i czuję wicher, co przeze mnie wieje,
palący, suchy. O, jakże wy straszne
jesteście, stróżo świata, obłoki! Niech zasną,
niech litościwa ogarnie mnie noc.*

Wilno, 1935 (z www.milosz.pl)

powyganiać poetów z kraju!



Jeśli chcecie powyganiać poetów z kraju, złączcie ode mnie, bo nie czuję tej miłości, tu w tym piekle. Poeta dojrzał schnie, jak kora, jak strumyk po deszczu w koleinie polnej drogi. Janko Muszykant też przestał grać na piszczałce.

Moja gitara leży na szafie kilka lat osamotniona, nie chce mi się śpiewać, grać, komponować. Wyschnięty od środka zbieram pacierzę jak liście. Wczoraj w kościele słuchałem polskiej pieśni: „O szczęście niepojęte...” Jedwabna spowiedź. Komercyjna młodzież pozywana jak struny, inna do życia – gdzie brak jest przyjaźni, tej serdeczności wobec czasu. A czas płynie i tak zakratowany jak pajęczyna, w czeluści imitacji – sztucznego schlebiana...

Nie zrozum Czytelniku mojej apatii, okruszyna jest ważniejsza od raketowej tarczy. Akurat na Północy kilkanaście kilometrów ode mnie, będą mnie broniły czarne latawce; przed kim? Tylko rzeka Słupia płucze kamyki w sercu ciszy!

* * *

Zaczytywałem się o Janie Lechoniu na emigracji – chciałem zrozumieć jego poetycki lot „Iłkara”. Gdzie nabył tyle odwagi?

Rozumiem: skok z komórki, z pierwszego piętra budynku, ale w Nowym Jorku z wieżowca!? Chciał wrócić do Polski nawet boso...

Zaczytywałem się o Marku Hłasce – chciałem zrozumieć i rozumiałem jak kochał swoją matkę z Wrocławia. Sekretarze dziwili się, ale tylko zdraycy smażą się na patelni w gościnnej chacie diabła!

Zaczytywałem się o Witoldzie Gombrowiczu – chciałem zrozumieć symptom dźwięku w krzyżu, który krwawił czarną modlitwą. W nim rosły czerwone róże. Kto potrafił go zrozumieć, Mistrza Prozy? Najbliżej Polski był gościnnie w Berlinie – przed śmiercią.

Zaczytywałem się o Edwardzie Duszy – chciałem zrozumieć... Pamiętam wiersz w Rzymie, gdzie żegnał się tam z matką: „Byłaś tak mała, że mogłaś zmieścić się w moim sercu” – napisze później w Ameryce. Tak, on w oknie pociągu, a ona na peronie płakała.

Ilu poetów i ilu pisarzy wróciłoby wtedy do Polski, gdyby nie „Żelazna Brama”! Była naprawdę z żelaza... Komuniści czuli się „właścicielami”, a byli jedynie pospolitymi złodziejami, (ich życia) w ich kraju, o którym, pisali na obczyźnie w swoich wersach i strofach.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

targi książki w kościerzynie

Parę dni temu zadzwoniła do mnie Wacława Greinke. Bez długich wstępów oświadczyła: Dostałam zaproszenie na Targi Książki w Kościerzynie i załatwiłam kilka miejsc. Jedziemy pierwszego sierpnia.

Ponieważ nie uczestniczyłem w tego rodzaju imprezie jako wystawca a ukazał się akurat mój kolejny tomik poezji, więc zdecydowałem się pojechać. Wacka to moja koleżanka z dawnych lat. Razem pracowaliśmy w Słupskim Przedsiębiorstwie Turystycznym „Przymorze”. W bytowskim zamku uruchamialiśmy hotel i restaurację. Potem nasze drogi rozeszły się, zmieniliśmy pracę. Jak się okazało nie zmieniły się nasze zainteresowania. Piszemy poezję.

Wacka wydała tomik zatytułowany „Impresje z górnych poziomów nieba”. Ja tomiki - „Wspomnienia odnalezione”, „Wyrwane z pamięci” i „Myśli rozkołysane”. Spotykamy się w bytowskim klubie literackim WERS.

Umówiliśmy się, że pierwszego sierpnia jedziemy! Dwa dni przed wyjazdem dzwoni Wacława: - Nie jadę, rozbiłam samochód, musimy jechać twoim.

Razem z nami miał jechać Heniek Czyż - nasz stary znajomy. Kiedyś pracował w Domu Kultury w Bytowie. Teraz pisze specyficzną, oryginalną poezję. Lokalny patriota, drukuje w „Kurierze Bytowskim”, gdzie ma stałe miejsce w dziale kultura.

W Kościerzynie mieliśmy spotkać się z szefem naszego klubu literackiego Wacławem Pomorskim. Wacek to profesjonalista! Członek Związku Literatów Polskich, uznany przez krytyków po-

eta. Drukują go w „AKANCIE”. Jego wiersze zamieszcza literacki brulion „ŚLAD” – wydawnictwo słupskiego oddziału ZLP.

Wydawać się mogło, że bytowski WERS będzie przyzwoicie reprezentowany. Jednak życie płała figle i zmienia plany w najmniej oczekiwanym momencie. Na dzień przed wyjazdem dzwoni Wacka: - Nie jadę, muszę być w tym dniu w szpitalu, chyba będą mnie ciąć! Jedź z Heńkiem Czyżem.

Dzwonię do Heńka z nowiną, że jedziemy bez Wacławy, a Henryk na to: - Nie jadę, pierwszego muszę być na badaniach w szpitalu.

Pojechałem sam.

Przy wjeździe do Kościerzyny kilometrowy korek! Nie wiem gdzie zaparkować, do kogo się zgłosić, gdzie moje stoisko. Wszystko bowiem miała załatwić Wacława. Kościerzyna wystrojona kolorem plakatów i transparentów żyła imprezą. To już IX Kościerskie Targi Książki Kaszubskiej i Pomorskiej „Costerina 2008”. Rynek w centrum zastawiony stoiskami około czterdziestu wydawców! Kolorowe parasole, kaszubska muzyka, ludowe stroje. Olbrzymia scena przygotowana do występów. Trwał akurat festiwal folklorystyczny z udziałem zespołów z Brazylii, Indii, Turcji, Hiszpanii, Ukrainy. Były kaszubskie zespoły pieśni i tańca, kapele i chóry ludowe - prawdziwy gejzer kultury!

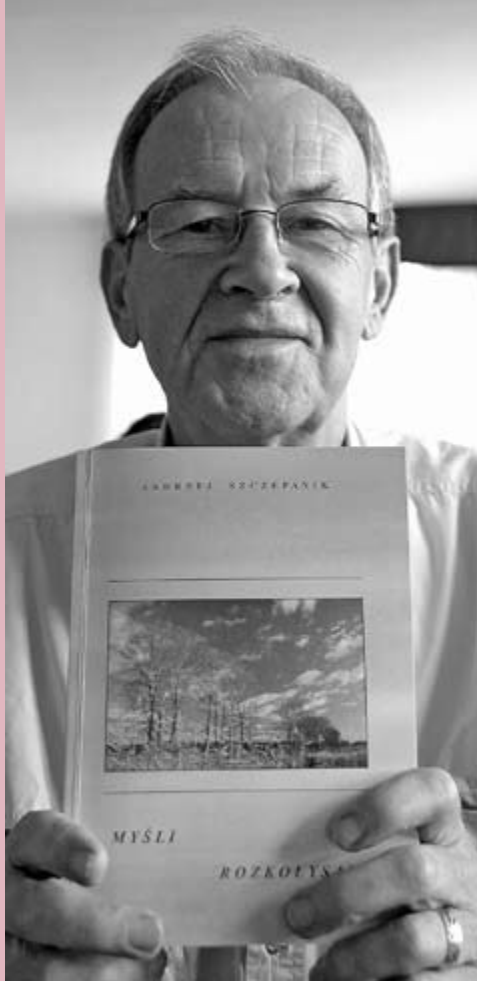
Ulokowany zostałem w centralnym punkcie targów. Z jednej strony Biblioteka Miejska z Tucholi oferowała wielki wybór wydawnictw historycznych, przewodników i map po Borach Tucholskich. Z drugiej - piękne stoisko znanej w kraju bajkopisarki Wioletty Piaseckiej z Elbląga. Autorka w przebraniu zaczarowanej wróżki wabiła do siebie rodziny z dziećmi pozując do pamiątkowych zdjęć. A pomiędzy nimi ja!

Wyłożyłem na stoliku swoje „Myśli rozkołysane” z cichą nadzieją na spotkanie z pierwszym klientem. Imprezę prowadził wspaniale pan Edmund Lemańczyk. To znany miejscowy konferansjer, gawędziarz i miłośnik kultury kaszubskiej. Ubrany w ludowy strój zabawił uczestników ubarwiając oficjalne wystąpienia kaszubskimi opowieściami.

Naprzeciwko mnie swoje stoisko miał Wacek Pomorski. Przyjechał z żoną i wnuczkami. Wystawiało się również Muzeum Zachodnio - Kaszubskie z Bytowa. Na scenie odbywało się wręczanie nagród. W kategorii literatury prozatorskiej pierwszą nagrodę uzyskała Barbara Kosmowska, znana w kraju pisarka z Bytowa, oraz fotoreporter z „Kuriera Bytowskiego” K. Rolbiecki za cykl zdjęć do albumu „Kaszuby. Ziemia i Ludzie”. Barbara Kosmowska ściągała do swojego stoiska tłumy! Sprzedawała swoje powieści rozdając autografy, dedykacje i jak zawsze uśmiechy i miłe gesty. Z Barbarą znamy się od lat. Kiedy była małą, uroczą dziewczynką nieśliśmy ją z jej bratem Bogdanem na zmianę na barana znad jeziora...

Nareszcie mam swojego pierwszego klienta. Smutna i zamyślona dziewczyna. Przegląda mój tomik i pyta: - Czy napisał pan coś o miłości? Przeczytałem fragment jednego wiersza, potem jeszcze jeden. Widziałem, że podobały się i... kupiła. Potem zatrzymała się pani w średnim wieku. Przedstawiła się jako dyrektor biblioteki w Gniewie n/Wistą. Przejrzała tomik, kupiła i zaproponowała uczestnictwo w spotkaniu autorskim. Wymieniliśmy adresy obiecując uzgodnienie szczegółów w późniejszym terminie.

Następny klient - starszy pan w ludowym kaszubskim stroju. Przysiadł się, przedstawił: - Nazywam się Henryk Musa. Jestem poetą urodzonym w Sopocie. Poezją zajmuję się od lat. Wydałem sześć tomików poetyckich: „O czym szumią fale”, „Strofy dla ciebie”, „Wiersze z Kaszub”, „Od poranka do poranka” i inne. Proponuję panu wymianę mojego ostatniego tomiku w zamian za pańskie „Myśli rozkołysane”.



Propozycja była zaskakująca. Bez chwili namysłu wręczyłem panu Henrykowi tomik z dedykacją. Wymieniliśmy adresy obiecując spotkanie na najbliższej imprezie tego rodzaju. Przeczytałem kilka jego wierszy w wolnej chwili, podziwiając sztukę opisu przyrody, nadmorskich krajobrazów i uroków ziemi kaszubskiej. Tymczasem moja sąsiadka z krainy baśni oblegana przez dzieci pozowała nieustannie do wspólnych zdjęć. W przerwie zaproponowała mi abym przeczytał dowolny wiersz z mojego zbioru. Wybrałem „List”. Zaczyna się tak: „gdybyś mnie znała kiedy jeszcze młody / fantazji miałem więcej niż męskiej urody”. Widocznie podobał się, bo kupiła bez zastanowienia.

Prowadzący imprezę pan Lemańczyk podszedł do mojego stoiska. Porozmawialiśmy wymieniając grzeczności. Zainteresował się moim pisaniem i zapytał, czy nie mam przypadkiem jakiegoś utworu związanego z obchodami 64. rocznicy Powstania Warszawskiego? W tomiku „Bytów literacki” znajduje się mój wiersz pt. „Powstańcom”. Wręczył mi mikrofon, a ja drżącym z emocji głosem recytowałem: „Wspomnij rodaku powstańców Warszawy /

opowiedz dzieciom ich Golgotę / nie chcieli chwały ani sławy / wybrali dumę hart i cnotę / i zapamiętaj słowa pieśni / co hymnem dla nich była / gdy biel z czerwienią w ogień nieśli / pieśń polskim sercem biła / znicz zapal dziś żołnierzom / ofiarę złóż w rocznicę krwi / tym co w objęciach ziemi leżą / którym się wolna Polska śni”.

Tak zakończyła się moja przygoda na wspaniałej, pachnącej książkami, rozśpiewanej imprezie. To miłe, kiedy ktoś powie, że podobało się to, co napisałeś. Nachodzi wtedy fala satysfakcji z tego, że się coś stworzyło. Przyznać muszę nieśkromnie, że trzeba jednak mieć trochę odwagi, aby obnażając odrobinę swojego wnętrza liczyć na czyjąś przychylną reakcję. Myślę, że mi się udało. Z głową pełną wrażeń wracałem z postanowieniem, że w przyszłym roku wrócę.

Andrzej Szczepanik, Bytów

bursztynowe pole



Synowa Beata nazwała to nasze pole „bursztynowym”. A pole jak pole. Na nim dorodne buraki bujają liśćmi, jakby dziękując gospodarzom za troskę. Za to, że są zadbane, nawożone, oplewione. Pośród buraków wytyczony jest kawałek na warzywa.

Rozwalają się na grządkach wielkie głowy cebuli, ogórków rozciągają się we wszystkie strony, nad tym wszystkim niczym

na straży stoją słoneczniki, z ogromnymi tarczami, pełnymi smakowitych nasion. Lubię tu przebywać, często wieczorem wybieram się tu sama. Zawsze jest co robić, a chwile samotne w takim otoczeniu, są mi najmiłsze.

A co ma z tym wspólnego bursztyn? A ma! Dziwne to zaiste, że w polu, a nie na plaży znajduję przepiękne grudki bursztynu. Skąd się tu wzięły? Otóż dawno przed wiekami morze sięgało swym brzegiem aż pod górę Rowokót. Była tu w tym miejscu zatoka. Potem morze się cofnęło i jego obecna granica jest na wysokości Czofpina. Dawny brzeg morza to dzisiaj rozległe łąki, pola i lasy. A naniesiony przez morskie fale bursztyn pozostał. Schowany, ukryty pod warstwą ziemi. Ziemia na podgardnińskich polach jest torfowa czarna i dość urodzajna. Niestety dość

podmokła i bagnista. Wkroczyła więc melioracja. Podczas prac, koparki kopiące rowy wywalały spore hałdy ziemi. Dość głębokie były wykopy, w jednym natrafiono na złoża bursztynu. Wiele pięknych kawałków ludzie wówczas tam znajdowali. Nosili ten bursztyn kilogramami (bursztyn jest stosunkowo lekki). Przyjeżdżali handlarze, niektórzy sprzedawali im swoje znaleziska.

Ja zachowałam wszystkie znalezione kawałki. Trzymam je w szklanej szkatule. Czasami wysypuję na stół, przyglądam się pięknym barwom i odcieniom, podziwiam ich kształty. Są niesamowite. W każdym widzę jakieś życie, w każdym jest legenda, opowiadają o minionym czasie.

Nieraz ciężko pracując na polu, pochylona nisko nad ziemią, dostrzegałam coś połyskliwego, szczególnie po deszczu,

wyciągałam rękę aby po chwili trzymać w niej grudkę „złota” o rudym kolorze. Czułam, że to jest moja zapłata, którą płaci mi pole za ciężką pracę. Przynosiłam do domu pełne kieszenie takich kawałków.

Rywalizowaliśmy w rodzinie, komu uda się znaleźć najpiękniejszy okaz. Wygrał syn Andrzej. Znalazł największy, jest tylko trochę za mały dojrzały, mógłby poleżeć w ziemi jeszcze ze sto lat. Ale na to już mu nie pozwoliliśmy. Jest naszym koronnym znaleziskiem.

Ze wszystkich kawałków naszych pól i łąk, to pole u stóp Rowokofu, otaczamy szacunkiem, miłością i mamy do niego niezwykle sentyment.

Henryka Jurałowicz – Kurzydło, Słupsk

jak to się u mnie zaczęło?

Zadebiutowała w naszej antologii „Pod parasolem zieleni”. Ale debiut ten okazał się nie do końca szczęśliwy. Przy składaniu książki pomyłono jej zdjęcie...



- Moje doświadczenie z pisaniem wierszy, zaczęło się dość wcześnie, bo już w szkole podstawowej. Odkryłam, że lubię stawać do konkursów literackich. Odkąd pamiętam, to zawsze ciekawość moją budziły wiersze innych autorów – często zamieszczane na łamach różnych czasopism. Uczestniczenie w konkursach recytatorskich dawało mi ogromną radość – stwarzało magiczną atmosferę wśród zapalonych świec. W klasie IV liceum pokochałam lekcje języka polskiego. Stało się tak, dlatego że moja profesorka, pani Krystyna Danielecka ukochała sobie poezję podobnie jak ja. Stąd liczne utwory liryczne gościły na naszych lekcjach a możliwość interpretacji owych wierszy cieszyła mnie ogromnie. Pamiętam dokładnie moment kulminacyjny, gdy wena nie opuszczała mnie, choć na chwilę. Jak to bywa u nastolatków, wena tę dawała uczucie niespełnionej miłości, poczucie bezsensu świata. Była swoistym wyrazem buntu młodzieńczego na drobne niepowodzenia. Z czasem musiałam dorosnąć do tego, co chciałam przekazać. Starłam się nadać otoczkę tajemnicy temu, co pisałam. I tak trwa to do dzisiaj.

Ewa Gostyńska, Potęgowo

SERCA UNIESIENIE

Dotykać cię lekkim musnięciem palców,
każdy fragment twojego ciała – delikatnie
i subtelnie.

Chować twój twarz w moich dłoniach
tulić cię gorącym
oddychać jednostajnym tchem serca,
pieścić duszy lekki powiew.

Zawsze być tuż obok,
patrzeć w oczu otchłań,
zatracać się bez pamięci,
marzyć z tobą o niebieskich migdałach,
Snuć plany, gdzie ty i ja, to My.

Śnić najpiękniej, gdy obok śnisz ty,
kochać każdy poranek słoneczny i noc
gwieździstą,
bujać w obłokach namiętności,

nie opadać...trwać tak do końca.

Mieć cię dla siebie całego,
tak mocno pragnę być tylko twoja.

BY SOBĄ BYĆ

Wracam do swojego małego światka.
W którym nikt mi nie zabierze snów.
Wracam do swoich ideałów.
Bo przecież nie mogę żyć poza sobą.
Ja tu, ja tam...
Wciąż tak trwam.
Gubię się...
Chcę być taką, jaką sobie mnie wymarzyłeś.
Chcę być taką, na którą patrzysz z
podziwem.

Lecz to nie ja...
Ja tak nie umiem.
Zrozumiesz...?
Wierzę...
Bo to klucz do bram.

NIEMOC

To okropne nie móc nic.
Patrzeć przez palce na tych, co gór
szczyty zdobywają.
Liczyć na odrobinę szczęścia.
Które samo zajrzy do drzwi pokoju marzeń.

To okropne zatrzymać się nagle w biegu
o medal spełnienia.
Beznadzieja, bezsilność.
Apteka „Życie” wydaje recepty na jego
przetrawianie.

Dni płyną wartko... lat przybywa.
A ja wciąż w miejscu...
Krok naprzód, krok do tyłu...

Drepczę w błocie bezsensu.

Życiem zapisany



W sierpniu skończył dziewięćdziesiąt pięć lat i chciałby się jeszcze spotykać z ludźmi, i dyskutować na ważne społeczne tematy. Boli go, że tacy ludzie jak on, samotni, nie obojętni na losy kraju i świata, nie mają dzisiaj gdzie sobie podyskutować. Jako były nauczyciel ma też niezwykłą pasję literacką.

Oto jak sam przybliży swój życiorys i losy swojej rodziny: - Urodziłem się 13 sierpnia 1913 roku w Marianówce. Matkę straciłem mając dziewięć lat. Po powrocie z dalekiej Ukrainy – rodzice wrócili do niewielkiej posiadłości mej babki (ze strony matki) Marii Jaworskiej – Znosicze, gm. Niemiocze. Wrócił ojciec, matka, ja i brat Feliks. W Znosiczach w 1923 roku urodziła się siostra Elżbieta. Początkowo ojciec gospodarzył w Znosiczach, ale w 1926 roku przeniósł się z nami do Sarn. Tam matura, od 1934 roku studia w Wilnie na Wydziale Prawa i Nauk Społecznych. Brat i siostra też się uczyli. Po dwóch latach, ze względów ekonomicznych – roczna przerwa w studiach oraz służba w Podchorążówce przy 44 Pułku Piechoty w Równem.

Co było dalej? Wojna. Ucieczka z sowieckiego pociągu. Praca w ukraińskiej szkole niedaleko Znosicz. Babka, Maria Jaworska (właścicielka 15 ha ziemi ornej i 30 ha lasu) musiała uciekać i schronić się w Sarnach. Brata zabrali do „Stroitelnego Batalionu” i wraz z nim cofał się przed agresją Hitlera. On w maju 1943 trafił do Niemiec. Pracował tam ciężko, uciekał, znowu pracował. (w kopalni węgla), znowu uciekał... W Niemczech poznał żonę. Po przyjeździe Amerykanów trafił do obozu przejściowego. Przez półtora roku organizował tam polską szkołę. Na obczyźnie wziął ślub z Marią. W lipcu 1947 powrócili do kraju. Zatrzymali się u ojca, który wraz z drugą żoną i przyrodnią siostrą mieszkali już w Szczecinku. Tutaj zaczął pracę w wiejskiej szkole podstawowej. Do emerytury w 1973 roku uczył w szkole w Wielanowie, w gminie Wrząca. Zaocznie ukończył Wyższą Szkołę Rolniczą w Poznaniu. - Jednak żona nie chciała mnie widzieć pracującego w pegeerach – powie dziś, po latach. - Pozostawała szkoła, a życie nie było łatwe...

Fragment pamiętnika: - Piątek, 23.05.2008. Zdobyłem się na wysiłek, aby nie nadaremny. Tak! Bo do końca życia nie wolno zapominać o swych prawdziwych przywilejach, zaniedbaniach oraz „błędach przeszłości”. Teraz – jeśli siły pozwolą – o błędach i winach mojej i wspólnej przeszłości. Kochane dzieci, wnukowie i prawnukowie. Przy okazji Czytelnicy... Jeśli wspomnę o ujmach, plusach czy zasługach – to nie wyłącznie moich – lecz mego małżeństwa. Sześćdziesiąt jeden lat wspólnych to nie żarty! A czy w istniejących warunkach mogło być intelektualnie oraz społecznie dobrych? Pochodzę - podobnie jak Żeromski, który przykładem - z rodziny drobnoszlacheckiej. Niewłaściwie wychowany; matka wcześniej umarła... Nie przyzwyczajony jak młody Witos – do obowiązków z małego – i co gorzej zupełnie nie obeznany – mimo opieki babki – z obowiązkami oraz ciepłem życia rodzinnego. Odbiło się to fatalnie na współżyciu małżeńskim oraz wychowaniu dzieci... I co bolesne – te 61 lat życia – niemal bez więzi rodzinnych – w samotności. Bolesny fakt na przykład, gdy żona z dwojgiem dzieci pojechała do swej matki do wsi pod Grodno, a ja sam zostałem z pięciorgiem i akurat trzeba było jechać na pogrzeb ojca... Zrobiłem zdecydowany błąd decydując się – zamiast zająć się wychowaniem i wykształceniem dzieci – na studia zaoczne... I tak się stało, że stopień inżyniera rolnictwa więcej zaszkodził mi niż pomógł w moim życiu. Gdybym ten czas poświęcił na poduczenie żony oraz dzieci – byłoby dużo lepiej. Ale któż mógł mi to powiedzieć? Wzór dziadka – profesora carskich szkół średnich to za mało. Nie miałem ani konkretnych wzorów, ani... czy ja wiem???

W kilku grubych zeszytach są fragmenty notatek z czasów pracy w szkole, zapiski literackie, życiorysy znanych

pisarzy, fragmenty ich prozy, wierszy. Jest korespondencja prowadzona z różnymi instytucjami i autorytetami, w tym z samym profesorem Marianem Falskim – autorem polskiego elementarza o tym, jak ulepszyć podręcznik, jak bardziej

dostosować go do wymagań uczniów. Dyskutują jak kolega z kolegą... Są dyplomy i podziękowania za pracę, za aktywność społeczną. Są karty zapisywanego dzień po dniu pamiętnika. I są też wiersze. (Z)

Bohdan Wiecziński, Słupsk

LUDOWA KULTURA

Ludowa kultura – „od podszewki” taka
To nie tylko festyny, zabawy przyspiewki
To zgoda na co dzień, to życie rodzinne
To zgoda, współpraca i ład w środowisku
Bez pasożytów, nierobów, narkomanów,
Gdzie nikt nikogo po pijanemu nie leje
po pysku

I nikt obcy w codzienności rażących
nie dostrzega braków.

RODZINO TY, MOJA

Rodzino Ty, moja o jakże boleśnie
Przeżywam Twe losy na jawie i we śnie
Gdy czuję się współwinnym
Lecz również bezsilnym
Kiedyż Twe szczęście nadejdzie
nareszcie?

O dzieci, Wy nasze! Jak ciężko Wam
było

Gdy w biedzie i brudzie
wśród sporów się żyło...
Z różnym charakterem nam dwojgu
wybaczcie
I sobie do oczu też nigdy nie skaczcie.
... Czas nieraz lekarstwem, czas wiele
może zmienić
Wspólny ból, trud i mękę
w los lepszy przemienić

Zamyślenia szczególnie spolegliwe

**Kiedy spróbował zmierzyć się z poezją?
Dokładnie przed 53 laty.**

A było to tak (cyt. za wywiadem z Andrzejem Turczyńskim pt. „Być sobą” opublikowanym z okazji 70. rocznicy urodzin pisarza: „Debiutowałem – wiesz, ani chybi, z lektury lokalnych gazet i naszych późniejszych rozmów koleżeńskich - w „Kamień” jako siedemnastolatek będący jeszcze uczniem gimnazjum... Tego samego roku (1955; dop. red.), ba! miesiąca, w lubelskim „Sztandarze” debiutowaliśmy jako poeci trochę starsi: Ty, Edek Stachura i Romek Karaś. Jedynie Edek pozostał wierny muzom. U Ciebie i Romka górę wzięło dziennikarskie piarstwo, zaprzańcy! Chociaż... Nie tylko dziennikarzyłeś – gwoli prawdę...”.

Tworzył Lissowski wiele, prawie cały czas. Publikował parę razy wybrane „zapiski poetyckie” w tzw. formie zwartej. Zawsze jednak z obsesyjnym wręcz uporem wzbraniał się przed zamieszczaniem w prasie swoich wierszy. Dzisiaj wreszcie („ze względów osobistych” i – „na pożegnanie”) ustąpił. Chcielibyśmy wierzyć, że nie ostatni raz. (red)



Fot. B. Ariszynski

WSPOMNIENIE JESIENI

Żonie

Ziemia się kurczy w melancholii
opadających liści które są złote
zastygłą krwią
To nieprawda
że Cię nie kocham
Patrz
tu pod płótem z klonów
jest ławka
ta sama co przed tamtym rokiem
Pamiętasz?
Usta masz pełne wiosny
a w oczach jesienną kochaną mgłą
za którą skryła się cisza

jak za złotym purpurowym szkłem
Słyszysz?
To noc gra na rozsypanych wirujących
klawiszach
odwieczną symfonię j e s i e ń.

1989

TE DWA KOBOLDY...

Dzieciom

Tylu poetów pisało już o ustach
Tylu poetów porównywało je do owocu
zrywanego w dojrzałym sadzie
że nie wiem jak Ci podziękować za te bóstwa
które ofiarowałaś mi dziś wieczór
Dwa karminowe koboldy

jakby powiedział Gałczyński
są mądrością świata
Dwa małe koboldy.
Do Twoich rozchylonych warg
uciekam przed złem tego świata
jak zagoniony szczeniak
do boku matki. Wołając ukryj.
Do Twoich zsiniałych od mrozu warg
szedłem godzinę, lata, wieki
marząc o takim wieczorze
przybranym w płatki śniegu
Do Twoich kochanych ust
na których topnieje śnieg
zamykam naszą miłość.

1998

MOJE SPEŁNIENIE

Wnukowi Bartoszowi

Nie wiem,
doprawdy nie wiem,
czemu przy Tobie
- jedynym -
gonię uciekające przede mną galopem
chwile, króciutkie chwile
bez nieuniknionej dziadkowej zadyszki.
I - najzupełniej serio - doganiam je!
Żyję, jak Ty, pielęgnowanymi przez siebie po dziecięcemu
planami i marzeniami.

Doznaję nieopisanej satysfakcji, więcej: pełni szczęścia,
gdy jesteśmy z sobą. Blisko -
na odległość wyciągniętej ręki.
Tu, w Słupsku, gdzie w 1999 pierwszy raz Cię ujrzałem.
W mieście, które - parafrazując przyjaciela poetę -
choć płaskie jak dłoń,
nagle, we wszystkich kierunkach
zaczęło zbiegać z góry na dół.
Bo zobaczyliśmy a l t e r e g o?
Niewykluczone. Może Los - Absolut - Bóg
tak właśnie zrządził
On tylko wszak zna tajemnice
rzeczy i spraw niepojętych.
C'est la vie!..

2008

Urodziła się w niewielkiej miejscowości nieopodal Piły, w Trzciance. Tam ukończyła Szkołę Podstawową i Liceum Ogólnokształcące. Po maturze w 1977 roku przyjechała do Słupska, aby rozpocząć studia na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Jej pasją było odkrywanie tajemnic przyrody, stąd obranym kierunkiem studiów była biologia.

teresa alina ławecka



Fot. Archiwum autora

Na drugim roku zrezygnowała jednak ze studiów na rzecz zakładowej rodziny. Po ślubie przeniosiła się do Ustki, spędzając każdą wolną chwilę nad ukochanym morzem. W 1981 urodziła syna Łukasza, a dwa lata później syna Wawrzyńca. Niestety, jej małżeństwo nie trwało długo, zostało rozwiązane w 1985 roku. Teresa samotnie wychowywała odtąd dwójkę dzieci. Z uporem brnąc przez życie, pełniła jednocześnie funkcję matki i pracownika.

Niestety choroba bezpowrotnie niszczyła jej wzrok. W 1993 przeszła na rentę. Po czterech operacjach w Polsce, poddała się długiemu leczeniu w Hanowerze. Pomagali jej w tym przyjaciele i rodzina, a także liczne zakłady pracy ze Słupska. Po przeprowadzonych operacjach lewym okiem zaczęła widzieć światło. Ten stan widzenia utrzymuje się do chwili obecnej.

Jej pasją, oprócz nauk biologicznych, jest poznawanie świata dzięki literaturze. Najbardziej interesuje ją literatura młodzieżowa, a także fantastyka naukowa czy literatura kryminalna. Z pisarzy ceni najbardziej Robina Cooka oraz Joannę Chmielewską. Z poezji wybiera jednak klasykę Adama Asnyka. Nawet, kiedy straciła wzrok, nie zrezygnowała ze swoich zainteresowań. Korzystała i korzysta nadal z książek nagrywanych na kasetach i innych nośnikach.

Poezję pisze od niedawna. Koncentruje się przede wszystkim na problemach, które są jej najbliższe. Nie brak

w jej wierszach lirycznej tęsknoty za utraconą przyrodą, a także metafizycznego zdumienia światem. Mimo to całości kształt twórczości „świeżej poetki”, ale doświadczony osoby, to przede wszystkim „mieszanina żywiołów”, poczynając od pesymistycznego spojrzenia na człowieka i optymistycznego spojrzenia na otaczający go świat.

T. Alina Ławecka, Słupsk

NAGRODA

W zalanym słońcem pokoju cisza
Za szklanym ekranem akwarium
Obok złota rama oparta o ścianę
Z niej spoglądają dwie młode twarze

Jej włosy otula biały welon
Na ustach tańczy tajemniczy uśmiech
Drobne dłonie trzymają bukiet z kalii
Różany policzek głaszczą spracowane palce

Oczy wyblakłe wspomnieniem tęsknią
Laurowy wieniec na głowie
Posrebrzył księżyc swą poświatą
Jesteś jak on wypalony

Chudziutki i blade
Skrzywiony w pałąk
Obierasz najtrudniejszą drogę
Chcesz dotknąć skrzydeł anioła

W innym mieście
W innej sypialni
Obok siebie
Spokojnie zaśniecie

Przecucie śmierci jest pragnieniem nagłym i nie uspokojonym. Śmierć rodzi się w człowieku, a w chwili „śmierci” umiera. Człowiek nosi w sobie piętno, którego zniszczyć nie potrafi. Śmierć jest jego jedynym wymiarem, przepowiednią złowrogą i ostatnią. Nie można jej wyplenić. Jest jak chwast, który prędzej czy później odrośnie na tym samym miejscu.

Wiersz „Nagroda” Teresy Ławeckiej nie jest w rzeczywistości podarunkiem za należycie „przeżyte życie”. Należałoby się nawet zastanowić czy czasami nie jest karą za niedosyt cierpienia. Poetka niszczy klasyczny stereotyp istnienia człowieka w świecie, który osadza się na materialności. W samym człowieku dostrzega byt niematerialny i wielowymiarowy.

Inaczej też postrzega autorka wiersza otoczenie ludzkiej istoty. Przestrzeń zdaje się być pozbawiona czasu. Jest martwa, tak jak człowiek jeszcze wykonujący pojedyncze gesty, ale już nieistniejący. Powietrze staje się próżnią, rozchodzi się w nim tylko „światło” i „cisza”. Takie wybrakowanie przestrzeni nakłada się jednocześnie na obraz „dwóch młodych twarzy”. Maski te, wyglądające tak jakby przed chwilą zdjęte zostały z lalek-manekinów, kryją w sobie milczenie. Są puste tak samo, jak otaczająca je próżnia. Ale portret dwojga ludzi pełni w wierszu całkiem inną funkcję niż można by było się tego spodziewać. To zaledwie odbicia żywych istot, będące mimo to ich częścią. Ta fantomiczna natura owych twórców podkreśla ich metafizyczność. To one żyją, a nie człowiek, który jest, jak

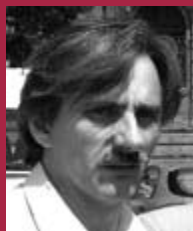
pisze poetka, „wypalony”. Fantom przejmuje więc na zawsze funkcję człowieka. Człowiek w ten sposób przestaje „być w świecie”. Opozycja bytu duchowego, który z zewnątrz zdaje się być tylko „mdłą maską” i stuprocentowego człowieka, który jest nicością, to cecha charakterystyczna tego wiersza. Oto wszystko jest tutaj inne niż naprawdę. To wyłącznie projekcja poetyckich obrazów, oglądanych jakby przez lupę.

Mimo tak pesymistycznego nastroju wiersza, dostrzec w nim można ludzką szansę udziału w drodze do nieśmiertelności. Niezachwiana wiara w reinkarnację, w odrodzenie się duchowości, nadanie ponownie cech żywych bytom śmiertelnym, jest „poetyckim dowodem” na istnienie bytów fantomicznych. Jesteśmy tu po to, by kiedyś zmartwychwstać. Stąd bierze się w nas przebłysk śmierci, który nie jest końcem, ale początkiem. O tym elemencie nie zapomniała Ławecka. Żyjemy, po to, aby kiedyś umrzeć, ale zejście z tego świata będzie powrotem do miejsca, z którego zostaliśmy wygnani. A takich miejsc znajduje poetka bardzo dużo. Te miejsca oznacza tylko symbolicznie za pomocą stwierdzenia: „W innym mieście / W innej sypialni”. Pozostawia jednak bytom fantomicznym swobodny wybór przestrzeni. Dla niej mogą one „spokojnie zasnąć obok siebie”.

Wiersz „Nagroda” urasta do rangi milczenia. Gdyż jest milczeniem. W nim się milczy. Słowa nie istnieją. Bytują tylko fantomy, które przybierają podobne do nas kształty. Nie mówią jednak nic. To maski naszej wyobraźni.

Anna Łozowska, Słupsk

blżej do patacu marzeń



„Łzy toczą wstążkę na mej twarzy”- to tytuł debiutanckiego tomiku poetyckiego Aldony Peplińskiej z *Notarzyna*. Autorka długo pracowała na tę książkę, ale warto było!

- Peplińska, pisząca od ponad dwudziestu lat prezentuje nam twórczość dojrzałą, choć tematy podejmowane w tekstach wydają się na pierwszy rzut oka czasami wręcz banalne – napisał we wstępie Mirosław Kościński, wiceprezes Oddziału ZLP w Słupsku. - To jednak pozory, właśnie ten momentami zachwyty nad światem, a szczególnie przyrodą i obcowania z nią powodują, że jej wiersze to swoiste wręcz hymny na cześć ptaszków, drzew, uprawy roli, wiatru, obfoków, budzenia się wiosny, nadejścia jesieni, czy mroźnego oddechu zimy. (...) Autorka świadomie porusza się między literaturą wysokiego lotu a przystawowym kiczem. Z wyrafinowaniem bawi się słowem, rytmem i rytmem (często je splaszając, banalizując, używając rymów częstochowskich i urywając), by osiągnąć łagodny humor, nuty groteski i w ten sposób wywołać w czytelniku sprzeciw. A tym samym zmusić do ponownego przeczytania i zamyślenia się nad sensem wiersza.

- Miłość do książek, powieści, poezji otrzymałam od mojej mamy już w chwili pierwszych uderzeń mojego serca. Później wystarczyło tylko kilka pięknych bajek H. Ch. Andersena, powieści J. I. Kraszewskiego i M. Rodziewiczówny, abym oszałała. W tym amoku trwam do dziś, dzięki pięknej poezji M. Konopnickiej, księdza J. Twardowskiego, J. Tuwima i wielu innych wspaniałych autorów - zdradza swoje głębokie tajemnice

w postwoiu sama autorka. - To dzięki nim życie i problemy codziennosci nie są tak bezbarwnym i pełnym gorczy daniem. Obowiązki nie pozwalają mi na rozpostarcie skrzydeł mojej bujnej wyobraźni, więc robię to pisząc. W świecie słów, krainie zapisanych kartek spełniam marzenia, odrzucam złość z czułością patrząc na najbrzydszy nawet kamyk. Ale i obserwuję, zapisując myśli i słowa innych, by były podpowiedzią, przestrożą. W ten czarujący świat poezji skrywam się często z moimi pragnieniami, słabościami, lękiem. Wiersze te pachną płatkami pachną kwiatów, korą z brzoź zroszonych łzami radości, bólu i żalu.

- Jestem romantyczką, lecz o wyważonej szali, realnie widząc oblicze świata, w którym żyję. Te ciemne strony,



pełne zła, przemocy, staram się przykryć dywanem ciepłych uczuć poprzez tworzenie utworów tętniących miłością. Wierząc, że dobro tylko poprzez szczerę i mocne ramiona czułości i bezgranicznego oddania zwycięży nawet najostrożniejszą chwastę i nie patrząc na kolce raniące do bólu, wyrwie je do ostatniego korzenia, pozostawiając oczyszczone ziemskie padole gotowe przyjąć świeże, młode nasienie kochania.

Wiersze Peplińskiej, podobnie zresztą jak wszystkich słupskich wiejskich poetów, są naprawdę piękne i znajdują czytelnika. Nie ma potrzeby, aby do ich lektury specjalnie zachęcać. Autorka dała się już poznać swoimi publikacjami we „Wsi Tworzącej”, a także w kolejnych antologiach poezji wiejskiej wydawanych przez słupskie starostwo. Jest aktywną osobą, pracuje społecznie z dziećmi, pisuje opowiadania i felietony, które drukuje tu i ówdzie, w tym także w „Powiecie Słupskim”. Ludzie lubią ją i ona lubi ludzi. Z

tekstów można wnioskować, że ma niezwykle wrażliwą i czułą duszę.

- Jeszcze kilka lat temu, było to jedno z moich marzeń, tomik poezji – własny! Dziś po spędzeniu wielu chwil wśród wspaniałych osób podczas spotkań literackich w słupskim starostwie, kiedy to duma rozpięra mnie, gdy patrzę na kilka tomów antologii poezji, w których znajdują się moje wiersze, jestem szczęśliwa i chyba bardziej odważna, by pokusić się i sięgnąć wyżej lub, jak kto woli, dalej – zwierza się pani Aldona. - Wiem, że daleko, przede mną jest pałac, w którym swój piękny bal mają najlepsi polscy poeci, że dużo wody upłynie zanim i mnie ktoś na podobny zaprosi, (jeśli w ogóle zaprosi). Wiem też, iż należy próbować. Tak i ja próbuję moich sił, prezentując część moich tekstów. Zachęciły mnie do tego opinie osób, które miały możliwość poznać i czytać niektóre z nich.

Z. Babiarz-Zych

promocja promocji



*Tak chyba można nazwać to, co zdarzyło się w Gminnym Ośrodku Kultury w Dębnicy Kaszubskiej 16 października br. po godzinie 17. Wtedy odbyła się promocja debiutantskiego tomiku poetyckiego Aldony Peplińskiej z *Notarżyna*.*

Kiedy wszedłem na salę kominkową, przecierałem oczy ze zdumienia. Zaskoczyła mnie frekwencja, na sali grubo ponad 60 osób, trzeba było dostawiać krzeselka. Nareszcie poezja doczekała się należytej sobie oprawy. Jesteśmy przyzwyczajeni do „oklepanej” wersji czytania wierszy przy świecach. A w Dębnicy pokazano, że mamy wiek XXI. Spotkanie z rozemocjonowaną autorką zaczęło się od prezentacji multimedialnej przygotowanej przez Eunikę Czarnecką. W ten sposób jeszcze przed wierszami mogliśmy poznać, kim jest Aldona, jakie ma marzenia, plany i co udało jej się zrealizować.

Pierwszą część wierszy poznaliśmy dzięki wspaniałej recytacji Klaudii Matyjaszewskiej, Euniki Czarneckiej, Tomasza Ducha i Kamila Krzysztonia. Ten ostatni skomponował też muzykę do jednego z wierszy poetki. To miała być niespodzianka, ale ponoć nie za bardzo się udało, gdyż Peplińska pojawiła się przypadkowo na jednej z prób. Jednak widać było, że słuchanie wokalne wersji własnego wiersza sprawia jej wielką satysfakcję.

Autorka po przeczytaniu kolejnych wierszy serdecznie dziękowała wszystkim, którzy jej pomogli przy realizacji swojego poetyckiego marzenia. Zabrali więc także głos poeta Mirosław Kościeński, autor przedmowy do tomiku „Łzy toczą wstążkę na mej twarzy”, Zbyszek Babiarz - Zych - organizator Wtorkowych Spotkań Literackich przy starostwie powiatowym.

Na sali byli poeci zaprzyjaźnieni z Aldoną, nie tylko uczestnicy wtorkowych spotkań, ale także bytowska grupa „Wers”, której najnowszy almanach można było otrzymać.

Mnie mile zaskoczyła obecność radnych gminy, radnych powiatowych, emerytowanych nauczycieli.

Kiedy Jan Maziejuk i inni przybyli na to spotkanie fotografowie przystąpili do uwieczniania finału imprezy, wójt gminy Eugeniusz Dańczak zachęcał do pozowania, gdyż sam był zdziwiony znakomitością przybyłego towarzystwa. Mi pozostaje mieć nadzieję, że jeszcze w podobnym gronie nie raz spotkamy się w sali kominkowej i będziemy świętować inne poetyckie książki wydane przez mieszkańców naszej gminy. Zawirowania, jakie zaczynają się dziać wokół naszego przybytku kultury, mogą doprowadzić do tego, że już za kilka tygodni zdjęcia wykonane w sali kominkowej mogą okazać się fotografiami historycznymi.



I na koniec jeszcze wspomnę technikę komputerową. Wszystkie piękne bukiety, jakie otrzymała poetka i zdjęcia z imprezy można już obejrzeć na naszej-klasie w profilu Aldony Peplińskiej.

To była udana impreza, zakończona tradycyjnym już artystycznym poczęstunkiem, czyli świetnym słodkim winem, kawą i ciastem. Wszystkich zabawił niezrównany Jan Wana-go, poeta wileńsko-pomorski, jak o sobie mówi.

Jerzy Frykowski, Dębica Kaszubska

budują nowy świat



Przepraszam za moją nieobecność na ostatnich spotkaniach. Niestety, nie będzie mnie i na następnych, gdyż nie ma mnie w kraju. Mam jednak nadzieję, że uda mi się pozostać w kontakcie z grupą „wtorkowych poetów”, bo jak wszyscy wiemy, najważniejsze jest Słowo, a jemu nie grozi odległość geograficzna.

Oczywiście zamieszczam mój ostatni tekst napisany na obcej, choć przyjaznej ziemi. Tekst zaledwie wczorajszy, czekający dopiero na oszlifowanie, ale że już pełen przeczuc i nie uświadomianego na co dzień niepokoju i braku, toteż przesyłam go już dzisiaj.

Uwaga, pisane pod wpływem:

- dzisiejszego dnia
- odrobiny słońca
- kropli nadziei w morzu zwątpienia

Uwaga, pisane pod wpływem

- alkoholu w ilości tak śladowej, że niezauważalnej dla osób najbliższych
- smutku niewidzialnego dla najbliższych
- pod wpływem smutku tak nagłego, że mijającego tak nagle, jak trzeba
- pod wpływem braku endorfin (czytaj: tęsknoty)
- pod wpływem braku rozmowy

Uwaga, pisane pod wpływem:

- nocy bezsrebrzystej
- myśli mimo wszystko wciąż czyste
- i przeczucia tej przygody
- Tej przygody nieparzystej
- Lecz wieczystej

Pisane pod wpływem żalu

- (Jeszcze nie dziś, nie jutro wykrzyknąć go przyjdzie,
- Jeszcze nie tu i nie tam,
- A gdzie? Gdzieś, gdzie indziej...)

*Pod wpływem magii, która wciąż niewiadomo
Kogo gubi, a kogo tylko
Odprowadza do domu*

Chciałabym jeszcze dodać, że z przyjemnością zrealizuję artykuł o kraju, w którym się znalazłam trzy miesiące temu. Jestem w Irlandii Północnej, dokładnie w Belfascie. Miejsce to na pół irlandzkie, na pół brytyjskie, które jeszcze dziesięć lat temu było tematem głównego wydania wiadomości, dziś jest jednym z paru najbardziej polskich miast w Zjednoczonym Królestwie. Okolica zdumiewa zielenią... pola jak małe, zielone łatki w tysiącach odcieni poprzecinane ciemną linią żywopłotu, górzysty teren... Zrobiłam tutaj tysiące zdjęć, którymi chętnie podzielę się po przyjeździe, jeśli oczywiście będzie to godne zainteresowania.

Oprócz tego, że pracuję (a był to główny powód mojego wyjazdu), dość dużo również podróżuję. Widziałam na przykład grób św. Patryka, patrona Irlandii. O dziwo, miejsce to znajduje się w obrębie United Kingdom, nie zaś samej Irlandii. Można to dowolnie interpretować. Jedni twierdzą, że to kolejny dowód na to, że Irlandia jest jedna, bez względu na to, jaka jej część politycznie należy do United Kingdom. Ja chyba należę już do tych drugich, może młodszych, a może tylko przywiązujących coraz mniejszą wagę do granic. Każda granica bowiem, nawet w swej nazwie, ma za zadanie dzielić, nie łączyć. A ja chcę być dzieckiem świata bez granic. I to nie jest żaden slogan. Kiedy jedyną informacją o tym, że przekraczam granicę państwa jest sms z sieci telefonii komórkowej, jestem wzruszona do łez, czuję się dzieckiem świata. Są tylko ludzie. Pamiętając o swoich korzeniach, znając swoją historię i język, nie pozwólmy, by ta wiedza nas dzieliła, lecz łączyła...

Odnoszę wrażenie, że w końcu zrozumieli to Irlandczycy mieszkający tutaj. Może jeszcze kilkanaście lat temu, kiedy dopiero kształtowało się wyobrażenie na temat Unii Europejskiej, mogło to być problemem, dziś już absolutnie nie jest. Ludzie żyjący tutaj budują nowy świat. Zamiast patrzeć w przeszłość, roztrząsać wydarzenia historyczne, zastanawiając się, do jakiego kraju należą, budują domy i drogi. Bo nie ludzie są dla symbolu, lecz odwrotnie.

Z tej perspektywy Polska wciąż wygląda jak smutny żołnierz z dawno zapomnianej wojny, rozpamiętujący stare czasy i zamierzczone zwycięstwa, pilnujący bardziej munduru niż domu i dzieci, które w nim płaczą. I to nie jest namowa do konformizmu. Chciałabym krzyknąć: ludzie, nie dajcie się ogłupić sloganom typu: „Żeby Polska była Polską”, pomijając już, czyj to był slogan, ja nie pamiętam... To nie patriotyzm w was budzą ci albo owi, tylko próbują manipulować waszym czystym sercem.

Dawniej uważałam Irlandię za kraj, który przeszedł podobną co Polska drogę. Uważałam, że to kraj patriotów, których podziwiam, rozumiem. Nadal tak uważam. To podobieństwo uzewnętrznia się wyraźnie w sztuce. Irlandzka muzyka ludowa jest tak podobna do naszej, że zadaje się być skądś znajoma. Mam tylko nadzieję, że i my wkrótce zrozumiemy, że niczego nie wywalczymy oddzielając się od wszystkich i modląc się do...no właśnie...

I ja modłę się o to, żeby kraj, do którego kiedyś wrócę, był miejscem dla ludzi o otwartych sercach. A może niepotrzebnie się nad tym zastanawiam, bo przecież pokolenie tych, którzy myślą inaczej, właśnie odchodzi.

Ilona Lipska, Belfast